El...y

(ADAM ASNYK)

WYBÓR POEZYI

Z PORTRETEM AUTORA

WYDANIE TRZECIE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

El...y

WYBÓR POEZYI

Biblioteka Miniaturowa

zawiera:

	Rs.	k.
Dante, »Boska komedya«, tłom. Edwarda Porębowicza		
— »II. Czyściec« Wyd. 2-gie	1	—
W oprawie	2	
— »III. Raj«	1	—
W oprawie	2	—
El...y, »Wybór poezyi«, z portretem autora	1	—
W oprawie	2	—
Homer, »Odysseja«, przekład Lucyana Siemieńskiego Wyd. nowe	1	20
W oprawie	2	—
Kochanowski J. »Wybór pism« z portretem	1	—
W oprawie	2	—
Konopnicka M. »Wybór poezyi«, wydanie 4-te z portretem	1	—
W oprawie	2	—
Krasicki Ignacy, »Wybór pism« z portretem	1	—
W oprawie	2	—
Mickiewicz Adam, »Pan Tadeusz«, wydanie nowe z portretem autora	1	—
W oprawie	2	—
Niemcewicz Jan Ursyn, »Śpiewy historyczne«, Wydanie nowe	1	—
W oprawie	2	—
Słowacki Jul., »Wybór pism«, z portretem autora	1	—
W oprawie	2	—
Syrokomla Wład. (L. Kondratowicz), »Wybór pism«, z portretem autora	1	—
W oprawie	2	—
Zaleski Bohdan, »Wybór poezyi«, ułożył J. Kallenbach	1	—
W oprawie	2	—
Żmichowska Narcyza (Gabryela). Wybór pism z portretem	1	—
W oprawie	2	—

El...y

(ADAM ASNYK)

WYBÓR POEZYI

Z PORTRETEM AUTORA

WYDANIE TRZECIE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

Kraków. Druk W. L. Anczyca i Spółki

I.

PUBLICZNOŚĆ DO POETÓW.

Wiecznie śpiewacie na tę samą nutę!
Śpiewacie rozpacz dziką i bezbrzeżną, —
Serca przedwczesną goryczą zatrute
I melancholią mglistą a lubieżną, —
Senne miłoście, szpilkami przekłute,
Rany zadane jedną rączką śnieżną;
I omijacie skrzętnie każdą radość,
Strojąc się w duchów księżycową bladość.

Po tysiąc razy te same westchnienia
Ślecie do oczu niebieskich lub czarnych,
Do drobnej nóżki, krągłego ramienia
I różnych kształtów, mniej lub więcej zdarnych, —
I umieracie jak Tantal z pragnienia,
Pełni poświęceń i bohaterstw marnych,
A choć się który czasem w rymie potknie,
To jednak lubej ręką swą nie dotknie.

Zawsze, ach, ona! z tą twarzyczką cudną,
Serca wam bierze na straszne tortury;

Spojrzy się... przeżyć jej spojrzenie trudno!
Odwróci oczy... świat się kryje w chmury!
Wszystko stracone, ona jest obłudną —
Dokoła ciemność i smutek ponury!
I nie zostaje nic... o srogi losie!
Jak ginąć w mękach na sonetów stosie.

Wiecznie te same klęski bezprzykładne,
I te piękności boskie nadzwyczajne,
Te bujne włosy, te ruchy układne,
Różane usta, słodkie, życiodajne!
Te oczy pełne miłości, a zdradne,
Które wyczerpał brylantowy Heine,
Te brwi, te rzęsy, te perłowe ząbki,
Te kwiaty w włosach i szat białe rąbki...

I pełno wszędzie słów pieszczonych szmeru,
Co płyną jako śpiewne wodospady,
I pełno woni zbyt słodkiej eteru,
Pełno lamentów zniszczenia, zagłady,
Zmarnowanego życia i... papieru,
I potępieńców pośmiertnej biesiady...
Co wszystko snuje się z jednego wątka:
Z kapryśnej pozy ładnego dzieciątka.

Dosyć już mamy tych rozkoszy dreszczów,
I tych uśmiechów, niby ironicznych —

Bladych księżyców, mgły i krwawych deszczów,
Niezrozumiałych potęg demonicznych;
Dosyć już mamy tych łabędzich wieszczów,
Którzy konają w bólach ustawicznych
I tych ubóstwień, rozanieleń, szataństw,
I tym podobnych rymowych szarlataństw!

Co nam do tego, że wam bohaterki
Przysięgną miłość, a potem was zdradzą?
Zapewne, są to dość znaczne usterki,
Lecz wartoż za to świat malować sadzą
I wulkaniczne puszczać fajerwerki,
Co się nikomu na nic nie przydadzą?
Wam się to pięknem zdaje w waszym rymie,
A my się za to musim krztusić w dymie.

Miłość jest piękną, bez wątpienia, rzeczą
I ma w poezyi stare jak świat prawa;
Lecz trzeba, żeby miała twarz człowieczą,
Żeby tryskała życiem jej postawa:
Śmieszną się zdaje, gdy ją okaleczą
I kiedy wyjdzie wybladła i krwawa.
Coby, ach! na to Afrodyte rzekła,
Gdyby widziała was i wasze piekła!

Nie zrozumiałaby zapewne wcale,
Że przemawiacie miłości językiem,

Widząc, jak w jakimś Orestowym szale,
Z spojrzeniem błędnem, pochmurnem i dzikiem,
Na samobójców chwiejących się skale,
Urągających niebu wykrzyknikiem...
Pewnie-by pierś swą zasłoniła twardą
I porzuciła was z gniewem i wzgardą.

Wprawdzie *dziś* ona, ta naga, ta grecka,
Złej już opinii na świecie używa;
Sentymentalność górą dziś niemiecka,
Co się w mgłach kąpie i we mgłach rozpływa,
I cała młodzież porządna, kupiecka,
Przed jej posągiem oczy swe zakrywa
I marzy wsparta na łokciu w sklepiku
O idealnym bardzo kaftaniku.

Wiemy, że trzeba kształty posągowe
Wypełnić *wyższem* tchnieniem ideału,
Na nagi marmur rzucić światło nowe,
Moc czarodziejską dać pięknemu ciału;
Wierzymy także w zachwyty duchowe:
Ale nie chcemy wiecznego rozdziału
Pomiędzy duchem, nieschwyconym w locie,
A biednem ciałem, co się tarza w błocie.

Chcemy tej zgody, harmonii i ciszy,
Która piękności pierwszym jest warunkiem;

Chcemy tych dźwięków, które każdy słyszy
Na swoich ustach drżących pocałunkiem:
Ale nie wrzasku szalonych derwiszy,
Co, upojeni narkotycznym trunkiem,
Kręcą się w kółko bez tchu i pamięci
I myślą, że to świat się cały kręci.

Chcemy tych natchnień, coby w życia zdroju
Ukazywały nową piękną stronę;
Któreby naprzód biegły w każdym boju
Pokrzepiać serca słabe lub zmęczone;
Coby rzeźbiły w klasycznym spokoju
Dumne postacie, wawrzynem wieńczone,
I podnosiły wszystkie ludzkie cele,
Zdrowe pragnienia budząc w zdrowem ciele.

Lecz wy, księżyca kochankowie smutni,
Nie macie na to w piersiach dosyć siły!
Każdy z was, wsparty na złocistej lutni,
Wpół pochylony do ciemnej mogiły
Słucha z przestrachem dzikiej wichrów kłótni,
Nucąc o widmach, co mu się przyśniły;
A że ma głosik łagodny i cienki,
Lubią go słuchać młodziutkie panienki.

Przez to zyskuje do wielkości prawo
I na miłostkach jako wieszcz wyrasta;

Spogląda łzawo i śmieje się krwawo,
Bo już go chytra zdradziła niewiasta.
Pogardza światem, nauką, zabawą,
Tylko się gorzko uśmiecha — i basta!
I poemata pisze ironiczne,
Bardzo piekielne, choć nie gramatyczne.

Ironia wprawdzie ma swój wdzięk oddzielny
I może zasiąść na Parnasu szczycie:
Dużo jest prawdy w śmiałości bezczelnej,
Dużo piękności w jej bolesnym zgrzycie,
Gdy się na przedmiot targa nieśmiertelny,
Widząc, że wcielić nie zdoła go w życie,
Lub gdy odkrywa serc ludzkich sprzeczności
I śmiechem godzi dwie ostateczności.

Ale ironia, o, panowie mili!
To nie gra w piłkę przyjemna i łatwa,
Którąby mogła zawsze, w każdej chwili,
Bawić się z szkoły wychodząca dziatwa;
Ten jeszcze Heinem nie jest, kto się sili
Śmiać się i płakać, i w rymie pogmatwa
Dużo utartych wyrażeń cynizmu,
Z romantycznego wziętych katechizmu.

Dlatego radzim wam, wieszczowie nasi,
Niech wasze muzy w locie swym odpoczną;

Niech z was się żaden nie dręczy, nie kwasi,
Ani też skacze w otchłań zwątpień mroczną
Dla tej niewdzięcznej Maryni lub Kasi;
Niechaj nie pędzi w przestrzeń nadobłoczną
Roztrącać gwiazdy... bo nam tchu niestaje
Zdążać za wami w tak dalekie kraje.

Chciejcie być skromni, zrozumiali, prości;
Panujcie myślą nad słuchaczów gminem
I budźcie w sercach pragnienie piękności,
Niechaj pieśń wasza będzie dobrem winem,
Coby nas mogło zagrzewać w starości;
Lecz nie szukajcie kłótni z Apollinem,
I gdy was rada nie powstrzyma nasza —
Wspomnijcie sobie losy Marsyasza!

POECI DO PUBLICZNOŚCI.

Z pokorą nasze pochylamy głowy
Przed twoim sądem — o, publiko gniewna!
Bo chociaż wyrok bezwzględnie surowy,
Jednak jest słusznym w gruncie: to rzecz pewna;
I przyznać musim, że nasz chór harfowy
I nasza nuta szpitalno-cerkiewna,
Z całym przyborem schorzałej fantazyi —
Jest dziś najgorszym rodzajem inwazyi.

Po zgasłych wieszczach w ręce słabe, drżące
Wzięliśmy lutnie, w których pieśń czarowna
Spoczywa w tonów ubrana tysiące,
Boleścią całych pokoleń wymowna.
Smutno nam słyszeć te echa mdlejące,
Smutno nam wiedzieć, że ta moc cudowna,
Potrząsająca niegdyś ludzi tłumem,
Niezrozumiałym stała się dziś szumem.

Straszno nam strun tych dotykać natchnionych,
Co się prężyły jako serca żywe,

Co miały siłę rozbudzać uśpionych
I smagać biczem umysły leniwe.
Straszno nam stanąć wobec tych zniknionych,
Rozrzucających piękności prawdziwe,
I pieśń podnosić wśród gawiedzi syków, —
Pieśń przygnębionych wstydem niewolników.

Znamy swą niemoc — węża, co nas dławi
I opasuje w swe skręty potworne;
Znamy ten obłęd; co nas zwolna trawi
I z piersi dźwięki dobywa niesforne;
Wiemy, że śmieszni jesteśmy, choć łzawi,
I tak bezkształtni, jako mgły wieczorne
Ale uznając wszystkie nasze winy,
Chcemy wam złego odsłonić przyczyny.

Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
Wieku bez marzeń, złudzeń i zachwytu, —
Obojętnego na widok piękności,
A więdnącego z nudy i przesytu, —
Wieku, co wczesnej doczekał starości,
Sam podkopawszy prawa swego bytu, —
Wieku, co siły strwonił i nadużył
Nic nie pozostawił, chociaż wszystko zburzył.

Wzrośliśmy także wśród dziwnego świata,
Co się zapału i uniesień wstydzi,

Co każdem wzniosłem uczuciem pomiata
I wszędzie szuka śmieszności i szydzi...
Bawi go jeszcze arlekińska szata,
Lecz ani kocha, ani nienawidzi!
I to jest nasze największe przekleństwo:
Otaczające nas dziś społeczeństwo!

Jego bezduszna, chłodna atmosfera
Już od kolebki duszę nam otacza;
Dziewiczą barwę szyderstwem z niej ściera,
Żadnej świętości marzeń nie przebacza:
Nic więc dziwnego, że ogień zamiera,
Że się fantazya krzywi i wypacza;
Bo tam, gdzie w sercach bezmyślność i bierność,
Krzewić się może jedna tylko mierność.

Każda epoka, co ze swego łona
Wydała pieśni potężnej olbrzyma,
Nosiła wyższej idei znamiona,
Pewien wzór piękna mając przed oczyma,
I sama była miłością natchniona,
Drżąca jak lutnia, którą śpiewak trzyma:
I on dlatego wielkim być nie przestał.
Że miał słuchaczów serca za piedestał.

On zbierał tylko marzenia tęczowe,
Które duch ludu z piersi swej wysnuwał,

Tylko im polot dawał i wymowę,
Ujmował w kształty i w przyszłość posuwał:
Więc kiedy stworzył potężną budowę,
Każdy jej wielkość i prawdę odczuwał,
Bo znalazł wszystko tam ubrane w ciało,
Co w jego piersi niewyraźnie tlało.

Potrzeba tylko młodzieńczego wieku,
Pełnego ognia, wrażeń i prostoty,
Wykarmionego na cudownem mleku,
Zbrojnego w wszystkie bohaterskie cnoty;
Potrzeba było, ażeby w człowieku
Wykwitła siła nadziemskiej istoty,
Co dumnym czynem w niebiosa się wdziera, —
Ażeby wydać ślepego Homera.

Potrzeba było dla niego tych czasów,
W których lud cały, w pieśni rozkochany,
Słuchał jej chciwie wśród laurowych lasów
I uzupełniał wątek podsłuchany;
I kiedy z długich pokoleń zapasów,
Snuł się poemat wielki, niezrównany;
I gdy bohater i twórca rapsodu —
Zarówno byli chlubą dla narodu!...

I zawsze w wieków minionych pochodzie
Z duchem społeczeństw szli śpiewacy w parze,

Co zakwitało w Ludzkości ogrodzie,
To pieśń na swoje przeniosła ołtarze.
Grek, hołdujący jasnych bóstw urodzie,
Znalazł swój liryzm pieszczony w Pindarze,
A ile ognia tlało w jego łonie,
Tyle rozkosznych brzmień w Anakreonie.

Tak samo znowu, gdy po nocy długiej
Świat się odmłodził wiarą i krwią nową;
Gdy barbarzyńskiej ciosami maczugi
Zgruchotał całą przeszłość posągową;
Kiedy cudownie odżył po raz drugi
Z całą fantazyą świeżą, silną, zdrową —
Zaraz zaświecił podwójnym brylantem:
Wdzięcznym Petrarką i surowym Dantem.

Szekspir, gdy stanął na dramatu szczycie,
Miał pod nogami wielką ludzi wrzawę,
Wybuchające namiętnością życie,
Wielkie gonitwy o miłość i sławę;
A Goethe zastał myśl ludzką w rozkwicie,
Po złote runo wolności wyprawę,
Żądzę ziszczenia ideałów szczytnych
I uwielbienie wzorów starożytnych.

Lecz dziś gdzie znaleźć jaki sztandar wielki,
Któryby porwał małoduszne zgraje?

Wszechwładnej niegdyś cudów rodzicielki,
Młodzieńczej wiary, świat już nie wyznaje;
Nikt się nie zwraca do tej karmicielki,
Co sercom ludzkim wieczną młodość daje —
I nie zostało nic z anielskiej wizyi,
Prócz niedowiarstwa albo hipokryzyi.

Piętrzą się jeszcze gotyckie świątynie
I wieżycami pną się między chmury,
I dym kadzideł jeszcze w niebo płynie,
I lud się modli, zimny i ponury;
Lecz nad tym jękiem, co bez echa ginie,
Nie ulatuje anioł srebrnopióry,
I w chore serca pociechy nie leje, —
I chłód śmiertelny z ciemnej nawy wieje...

Zabrakło wiary, zabrakło płomienia,
Który ożywiał niegdyś mężów dawnych;
Zabrakło cudów, zbrakło pokolenia,
Co cud mieściło w piersiach w stal oprawnych.
Dzisiaj, choć widzim smutne poświęcenia,
Choć widzim ludzi krwią swą marnotrawnych,
Przecież to wszystko tak marnie opada,
Jak kwiat, któremu wnętrze robak zjada.

Miłość ojczyzny?... Ta dziś pustym dźwiękiem,
Co nie brzmi wcale, albo brzmi szaleństwem.

Nasi mężowie, śpiąc na łożu miękkiem,
Biją w dzwon trwogi przed niebezpieczeństwem,
Gdy kto ten wyraz powie z cichym jękiem,
I obrzucają swój naród przekleństwem
Za to, że śmiał się targnąć na kajdany
I drgnął na chwilę — własną krwią oblany.

Miłość ojczyzny! To przedmiot zużyty
I pogrzebany z poległem rycerstwem,
Starannie w trumnie gwoździami przybity
I przytrząśnięty pleśnią i szyderstwem;
A nad nim klęczy postać jezuity,
Co umarłego gorszy się kacerstwem
I lud poucza, że modna pobożność
Tę ziemską miłość uważa za zdrożność.

Miłość ojczyzny!... Staroświeckie tema,
I rdzą grobowca zgryzione ze szczętem;
Zewsząd mu krzyczą wielkie anatema,
Pokryte słodkim świętoszków lamentem:
Więc żeby wznawiać rzeczy, których niema,
Trza być półgłówkiem, albo też studentem,
I z Don Kichotem błądzić po manowcach,
By kruszyć kopie na spłoszonych owcach.

A dziś podobna marzeń wybujałość
Jest w naszym świecie wielce karygodną,

Nasze powagi widzą w tem zuchwałość,
Która być może w straszne skutki płodną;
Przyznają wtedy pieśni doskonałość,
Gdy jest, jak oni bezbarwną i chłodną,
I tak strzyżoną jakby ogród włoski,
Mając ucięte i myśli i głoski.

Więc nie dziw, że nikt ręką swą nie sięga
Po ten skarb w lutni ukryty ojczystej,
Dla martwych widzów martwa to potęga!
I może kruszyć tylko pierś lutnisty,
I stać zamkniętą, jak ta czarów księga,
Przez długie wieki w ciszy uroczystej,
Póki epoka nie nadejdzie nowa,
Godna odczytać jej cudowne słowa.

Cóż więcej znaleźć?... Sława? tej nie mamy:
Wszyscy mniej więcej jesteśmy niesławni,
I nosim znaczne na honorze plamy;
Pod każdym względem zawsze niepoprawni,
O czystą wielkość zwykle mało dbamy
I wtenczas właśnie jesteśmy zabawni,
Gdy się stroimy w kawałek łachmanu,
Co się nazywa dziś rozumem stanu.

Ten rozum stanu — wynalazek złoty!
Lepszy niż jaki płaszcz nieprzemakalny,

Pod nim bezpiecznie można szydzić z cnoty
I podkopywać przesąd idealny;
Można ojczyźnie różne czynić psoty,
I łuk w nagrodę dostać tryumfalny —
Bo on zasłonić zdoła każdą sprzeczność,
Wszelki egoizm, wszelką niedorzeczność.

Istny talizman, który dobre wróżki
Roznoszą same jako płód krajowy
I polskiej szlachcie kładą pod poduszki;
A ta, się naraz budząc z bólem głowy,
Na suchych wierzbach umie szczepić gruszki
I Cycerońskiej nabiera wymowy!
Tak więc bez pracy, nauk i zachodu
Kraj się zapełnia gwiazdami narodu.

Przedmiot gotowy dla wieszczów przyszłości!
Będzie go można w gładkie rymy włożyć,
I parafialne pozbierać wielkości,
I epopeję narodową stworzyć,
Co pozostanie Iliadą śmieszności...
Lecz my nie pragniem owej chwili dożyć,
I wolim raczej na swych lutniach drzemać,
Niż próżny pęcherz powietrzem nadymać.

Cóż więc zostaje?... Pieśni erotyczne?
Ale i dla tych braknie w świecie wzorów.

Pogasły w piersiach ognie romantyczne,
Pełne świetności i pięknych kolorów,
A miłość cierpi suchoty chroniczne
I potrzebuje pomocy doktorów,
Co podtrzymują jej zbyt wątłe życie
Przez różnych środków drastycznych użycie.

Nasze anioły i nasze kobiety
Są w sentymenta ubrane po kostki;
Lubią poezyę zajadać na wety
I lubią także bawić się w miłostki.
Któżby wyliczył ich wszystkie zalety!
Jednej im tylko brak jeszcze drobnostki:
Prawdy w uczuciu lecz to rzecz zbyteczna,
Niemodna dzisiaj — nawet niebezpieczna...

Tem, czem są teraz, nie wzniecą tej walki,
Co się toczyła koło murów Troi;
Żadna nie zginie z rąk swojej rywalki,
Żadna się losów Julietty nie boi;
Bo każda z wdziękiem norymberskiej lalki,
W balowej sukni na wystawie stoi
I z pochyloną, rozmarzoną główką
Czeka na kupca, co płaci gotówką.

A Romeowie nasi nowocześni
Są jak z żurnalu wycięte figurki,

Tacy bezduszni, tacy bezcieleśni,
Że z nich zaledwie zostały tużurki,
Które do taktu salonowej pieśni,
Skaczą kadryle, walce i mazurki,
Wzdychając przytem od czasu do czasu
Do dyamentów, gazy i atłasu.

Krew tam nie kipi purpurowym warem
I nie upiększa ciał swoim szkarłatem;
Zmysły, namiętnym nie owiane czarem,
Nie zakwitają egzaltacyi kwiatem, —
A to, co wschodzi, jest tak zwiędłem, starem,
Tak arlekińskiem i tak karłowatem,
Że może służyć na pastwę dewotkom,
Co się pobożnym poświęcają plotkom.

Ale dla pieśni niema tam oparcia:
Tyle tam ziarna, co w pustym orzechu.
Te straszne dzisiaj czułych serc rozdarcia
Na drugi tydzień goją się w pośpiechu;
Do tragicznego zanim przyjdzie starcia,
Cała tragedya kończy się na śmiechu;
Skąd i poezya nasza nosi znamię,
Że jest szyderczą, gdy uczuć nie kłamie.

Trudno wymagać! gdy na takiej roli
Wytrysła natchnień prawdziwych obfitość;

Trudno geniuszu żądać aureoli
Tu, gdzie się toczy sama pospolitość;
I trudno miłość śpiewać wśród swawoli,
Co budzi tylko wzgardę albo litość;
Trudno, ach! żądać dziś Anakreona,
Kiedy świat cały na bezkrwistość kona...

Potrzeba śmiać się więc narówni z wami
I razem z wami nad przepaścią pląsać;
Potrzeba kryć się ze swojemi łzami
I z własnych uczuć głośno się natrząsać, —
Karmić się codzień skandalem, plotkami,
Różować twarze i przechodniów kąsać,
Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać;
Potrzeba śmiać się... śmiać się i — umierać...

Jeśli nas teraz potępić pragniecie
Za naszą niemoc, nasze niedołęstwo,
Za rozrzucone poetyczne śmiecie,
Za skoszlawione pieśni czarnoksięstwo,
Godzim się na to... potępcie, gdy chcecie!
Przy was jest słuszność, przy was jest zwycięstwo;
Lecz tę rozważcie smutną okoliczność:
Tacy poeci, jaka jest publiczność!

NA ZGON POEZYI.

Nie, nie nmarła, jak to próżno głoszą,
Ta jasnych krain pani i królowa,
Co serca ludzkie napawa rozkoszą!
Żaden jej grabarz pod ziemię nie schowa,
Nie stłumi natchnień, które pierś jej wznoszą,
Nie skazi wdzięku cudownego słowa:
Bo nim ją w piasku mogilnym pogrzebie,
uż z nową jutrznią zabłyśnie na niebie.

Ci, którzy mówią ciągle o jej zgonie,
Czyliż nie wiedzą, że ma żywot wieczny
W piersiach Ludzkości i natury łonie?
Że się odnawia w jasności słonecznej,
W ogniu miłości, co wieczyście płonie,
I czarodziejsko w jeden węzeł splata
Marzenia ludzi z pięknościami świata?

Czyliż nie wiedzą, że ona jest wszędzie
Rozlaną w całej błękitów przestrzeni;

Że ciemnych jaskiń przenika krawędzie
I świeżym liściem w gruzach się zieleni;
A choć zużyte porzuci narzędzie,
Choć dawne swoje koryto odmieni,
To w nowych myślach, uczuciach lub czynie
Naprzód z wezbranym prądem życia płynie.

Na cóż więc trwoga o jej przyszłe losy?
Czyliż zabraknie wiosennych błękitów?
Czyliż zabraknie łez ożywczej rosy —
Snów bohaterskich, miłosnych zachwytów?
Czyliż ucichną tajemnicze głosy
Stłumionych pragnień i rozpaczy zgrzytów?
I czyliż wszystko w nicość się rozwieje,
Co żywi całych pokoleń nadzieje?

Nie! nic nie zginie z uczuć przędzy złotej,
Choć wzór powolnej ulegnie przemianie:
Zawsze tak samo młodych skrzydeł loty
Wzbijać się będą nad ciemne otchłanie;
Zawsze te same słowicze tęsknoty
I żądza szczęścia ta sama zostanie,
I sercom ludzkim śpiewną da wymowę, —
Dźwięki tak znane, a tak wiecznie nowe!

Niewczesne wasze żale, o wróżkowie,
Co nieśmiertelnej śmierć wróżycie pewną!

Ona się w martwem nie zamyka słowie,
Nie jest zaklętą w marmur, ani drewno,
Lecz ma sklepienia niebios za wezgłowie,
A na usługi sfer — harmonię śpiewną,
I rządzi z góry sercem niewolnika:
Jak chce — zstępuje, i kiedy chce — znika.

Ona żyć będzie, choć jej oddźwięk zgłuchnie
W lutniach śpiewaków i sercach słuchaczy;
Ona w grobowem przechowa się próchnie,
Przetrwa mrok zwątpień i burzę rozpaczy,
I świeżym ogniem w przyszłości wybuchnie;
I znowu świat ją schodzącą zobaczy,
Biorącą berło, by rządzić wszechwładnie, —
I znów z miłością do nóg jej upadnie.

Ta trumna, którą do grobu składacie
Zawiera tylko kształt jej już przeżyty, —
Uwiędłe kwiaty na jej ślubnej szacie,
Woń znikającą, lutni dźwięk rozbity.
Wolno nam płakać po kochanki stracie,
Co w was młodzieńcze budziła zachwyty;
Ale nie wolno orzekać — że ona
Dla serca ludzi na zawsze stracona.

Wy się nie troszczcie o nią, o, wróżbici!
Bo ona w piasku mogilnym nie leży,

Lecz dawnych marzeń potargane nici
Przerabia w ciszy na strój inny, świeży,
W których znów serca stęsknione zachwyci
Nowych kochanków i nowych rycerzy.
Nie płaczcie nad nią — bo ona w obłoku
Na chwilę tylko uszła ludzi wzroku.

NAPAD NA PARNAS.

Dobrze było w swoim czasie
Apollina służbie głodnej
Mieć kąt własny na Parnasie
Ciepły, cichy i wygodny.

Dobrze było w laurów cieniu,
Pod opieką Muz dziewięciu
W poetycznem zachwyceniu
Żyć po własnem wniebowzięciu.

Wierne sługi łaska Feba
Przyodziała w blask sowicie;
Wszystko było, co potrzeba,
Na Parnasu górnym szczycie.

Można było pełną dłonią
Z kastalskiego czerpać zdroju
I oddychać kwiatów wonią
W błogiej ciszy i spokoju.

Do przejażdżki służył stary
Lotny rumak, co miał skrzydła,
A śmiertelni nieśli dary
I pochwalny dym kadzidła.

Nie zła była ta dzierżawa,
Gdy kto innych nie miał włości!
W gruncie rzeczy — dym i sława
Także godne są zazdrości.

Więc i wielcy, więc i mali,
Brnąc przez wszystkie życia burze,
Jak umieli, tak się pchali
Na Parnasu święte wzgórze

Ten przy lirze, ten przy gęśli,
Ów z piszczałką nawet lichą:
Wszyscy z góry światem trzęśli, —
A śmiertelni byli cicho.

Chociaż który śpiewał cienko,
Chociaż czasem rozdarł uszy...
Lud się pieścił wciąż piosenką,
Bo melodyę miał w swej duszy.

Aż tu naraz zgiełk i wrzawa...
Bartki, Wojtki, nawet Kasie

Zaprzeczają wieszczom prawa
Do pobytu na Parnasie...

Gmin się burzy, rwie się czeladź,
I przekupki i studenci;
Wszyscy krzyczą: »Siec i strzelać!
Niechaj giną wniebowzięci!«

Wydostali gdzieś z przedpiekla
Pozytywnych dział baterye;
W pękające bomby Haeckla
Uzbroili artyleryę;

Przypasali miecz Darwina,
Mściwi, groźni i zajadli,
I do gaju Apollina
Na drzemiących wieszczów wpadli.

Łatwo rzeszę zgnieść bezbronną,
Łatwo krwawe sprawić rzezie,
Gdy najeźdźcy walczą konno
Na pochodzeń hypotezie.

Induktywną swą metodą,
Ewolucyi chytrą sztuką,
Jednych rąbią, drugich bodą,
W prawo, w lewo tną i tłuką —

Nikt nie ujdzie ich pogoni!
Próżno śpiewny chór się cofa:
Już nikogo nie zasłoni
Słodko brzmiącej pieśni strofa.

Wykarmione wieszczym duchem
Ody, hymny lub peany
Jęczą teraz pod obuchem
Mechanicznej sił przemiany.

Tren miłosny lub ballada
W swym rynsztunku idealnym —
Wszystko pierzcha, wszystko pada
Przed doborem naturalnym.

Ta broń straszna w ręce tłumu
Rozstrzygnięcie daje łatwe:
W imię świętych praw rozumu
Apollina biją dziatwę.

Trubadury i minstrele,
Poetycznych bardów pułki,
Otrzymawszy sińców wiele,
Przez Parnasu mkną zaułki.

I niejedna nawet Muza,
Zaskoczona przez studenta,

Oberwała nagle guza,
Który długo popamięta.

Aż nareszcie śpiewne bractwo
Woła: »Ratuj, Apollinie!
Ukarz jawne świętokradztwo,
Bo sług twoich ród zaginie!

»Barbarzyńcy ci zuchwali
Już niczego się nie zlękną;
Gdy nie wstrzymasz, pójdą dalej
Nieśmiertelne burzyć piękno.

»Widzisz, panie, straszny zamęt:
Broń więc wiernych od bezprawia«...
Na te skargi, na ten lament,
Melodyjny bóg się zjawia.

W złotym blasku uśmiechnięty,
Na burzliwą patrzy młodzież,
Co, napadłszy wzgórek święty,
Potargała wieszczom odzież.

Z olimpijskich bóstw spokojem
Przed zwycięzców zastęp schodzi
I ucisza tchnieniem swojem,
Przemawiając tak do młodzi:

»Skąd te gniewy? Skąd te krzyki?
Skąd ten rozbój mojej służby?
Skąd ten cały zamach dziki
Na śpiewaków, sny i wróżby?

»Skądże przyszło wam do głowy
Napaść cichy Muz przybytek
I doktryny sztandar nowy
Na tak śmieszny wziąć użytek?

»Czyż sądzicie, że, dorywczo
Zaczerpnąwszy mądrość szkolną,
Już wam pieśni moc ożywczą
Poniewierać teraz wolno?

»Ja poważam także wiedzę
I oddaję cześć Minerwie,
Co, mieszkając tuż o miedzę,
Nigdy badań swych nie przerwie.

»Chcę, by Parnas żył z nią w zgodzie,
Korzystając z jej wyroku,
I w kwitnącym Muz ogrodzie
Wieczne prawdy miał na oku.

»Chcę, by kroczył w równej mierze
I otrząsał lutnie z pleśni,

Wszystkie życia prądy świeże
Odtwarzając w swojej pieśni.

»Jednak moje wdzięczne państwo
Cel i zakres ma odrębny
I nie może pójść w poddaństwo
Guwernantki tej bezzębnej.

»Która siostry mej, Minerwy,
Przedrzeźniając obyczaje,
Wciąż roztrząsa: czyli pierwej
Było kurczę, czy też jaje?...

»I nie mogą struny lutni,
Drżące szmerem pocałunków,
Do uczonych schodzić kłótni,
Powstawaniem brzmieć gatunków.

»Tej krainy śpiewnych marzeń
Nietykalną jest potęga
I wśród wszystkich przeobrażeń
W ideału sferę sięga:

»Gdyż królewska pieśni władza
Wieczne swoje panowanie
Na uczuciach tych zasadza,
Co nie mogą uledz zmianie;

»Idealnych snów przędziwo
Wiecznie snuje dla człowieka;
Serc tęskniących walkę żywą
W strój piękności przyobleka.

»Piękność — pierwszem dla niej prawem,
Główną gwiazdą na błękicie;
Piękność tylko swym objawem
Nieśmiertelne da jej życie!

»Więc, chcąc sądzić w państwie sztuki
O fałszywej piewców nucie,
Prócz rozsądku, prócz nauki,
Trzeba piękna mieć poczucie.

»Komu takiej braknie miary,
Ten się światu nie przysłuży,
Gdy poezyi słodkie czary
I fantazyi gmachy zburzy.

»Wyście przyszli jak szkodnicy,
Biorąc sobie za rzemiosło
Deptać wszystko bez różnicy,
Co w ogrodzie mym wyrosło.

»Muszę skarać taki zamach...
I tej hordzie, która wrzeszczy

W mej świątyni stojąc bramach,
Nowy rodzaj stworzę wieszczy«.

To wyrzekłszy, bożek wkrótce
W napastników wybrał gronie;
Krzykliwego wziął dowódcę,
Wieńcząc laurem jego skronie.

Złotą lirę dał mu w ręce,
Tajemnicze wyrzekł słowo
I rozkazał, by w piosence
Streścił światu mądrość nową.

Wnet Parnasu cały wzgórek
Stanął w niemem osłupieniu,
Słysząc romans dwóch komórek
W pacierzowym tkwiących rdzeniu.

Pieśń, na nowe pchnięta tory,
Materyalną wziąwszy suknię,
Do mózgowej sięga kory,
Po nerwowem pędzi włóknie,

Serc pragnienia i zachwyty,
I myśl każdą i uczynek,
Wyprowadza z walki skrytej
Wirujących wciąż drobinek.

W nieprzerwanym kreśli wątku
Organizmów epopeję,
Odtwarzając od początku
Protoplazmy pierwsze dzieje, —

I w powszechnej bytu walce
Przez rodzajów zmiany skacze...
Aż, w rozpaczy łamiąc palce,
Upadają w proch słuchacze

I błagają: »Wielki Febie!
Dość tej kary, dość tej męki!
My o litość prosim ciebie:
Ucisz dzikie lutni dźwięki«.

Lecz Apollo nieubłagan,
Zapał wieszcza wciąż podsyca:
I pieśń huczy jak huragan,
Albo wyje jak wilczyca.

Śpiewa dalej mistrz uparty,
Rozdzierając wszystkim uszy:
A tłum, widząc, że nie żarty,
Pragnie strasznej ujść katuszy

Napastników roty bitne
Na złamanie lecą karku;

Swe sztandary gubiąc szczytne,
Uciekają z Muz folwarku.

Wszyscy chcą się w ziemię zapaść,
By ujść mściwej Feba dłoni:
Taki koniec wzięła napaść;
Ledwie przetrwa pamięć o niej.

Znowu Parnas lśni pogodą,
Znowu spokój w nim głęboki;
Tylko wieszcze dotąd wodą
Okładają swoje boki.

PRZEMINĄŁ CZAS...

Przeminął czas! przeminął czas
Tęczowej cudów powieści:
Już opustoszał święty las
I czarów w sobie nie mieści.

Już w nim nie mieszka żaden bóg,
Faun płochy, ani Dryada;
Na skrzyżowaniu ciemnych dróg
Żadne już widmo nie siada.

Zaklęty zamek poszedł w dym,
Postrachu więcej nie szerzy...
I Meluzyna głosem swym
Nie wabi błędnych rycerzy.

Już czarodziejski prysnął krąg,
Serc widzeniami nie pieści;
Wyrwał się nagle z ludzkich rąk
Geniusz cudownych powieści!

*
* *

Przeminął czas! przeminął czas
Rapsodów sławy i miecza;
Zmalały pieśni pośród nas,
I pierś zmalała człowiecza!

Wolności także zamarł śpiew:
Niema skrzydlatej hussaryi,
Co za ojczyznę lała krew,
Padając z imieniem Maryi.

A bohaterstwa jasny cud,
Co niegdyś blasków lśnił tęczą,
Dzisiaj wyklina biedny lud,
Żelazną ściśnion obręczą.

Niezrozumiałym już się stał
Orężny szczęk epopei
Dla znikczemniałych, smutnych ciał
Bez męstwa i bez nadziei.

* * *

Przycichła pieśń i kona już,
Nie budząc żadnego echa...
Próżno się czepia zwiędłych róż,
Napróżno w łzach się uśmiecha.

Próżno na grobach w cichą noc
Skarży się smutna i blada:
Straciła dawną swoją moc,
Sercem człowieka nie włada.

On się już wyrzekł złotych mar,
Jasnego zaparł królestwa
I nieśmiertelny ducha dar
W otchłanie strącił nicestwa.

I runął cały wielki gmach,
Wzniesiony wiarą pokoleń...
Została nędza, niemoc, strach,
I ojców spróchniała goleń!

* * *

Lecz błyśnie dzień! lecz błyśnie dzień,
W którym duch ludzki nanowo
Ożywi zeschły życia pień
Girlandą kwiecia różową.

I z prochu, w który dziś się wpił
Na dawnych marzeń ruinie,
Zaczerpnie zapas twórczych sił
I znowu w niebo popłynie.

A ideału jasny kwiat
Z zbutwiałych obrany liści,
Napełni znowu wonią świat,
Zakwitnie pełniej i czyściej.

I żywych natchnień złota nić
Przewiąże prawdy zdobyte:
Co nieśmiertelne, musi żyć!
Choć zmienia kształty zużyte.

* *
*

A wtenczas pieśń powstanie znów,
Cudowną moc swą odświeży
I z labiryntu ciemnych słów
Na światło dzienne wybieży;

Rozpostrze tęczę rajskich farb
I nowe jutrznie zapali,
Najczystszy ludzkich natchnień skarb
Na śpiewnej unosząc fali...

I nieśmiertelną życia treść
Dobędzie z prochu i kału,
I rzeczywistość zdoła wznieść
Za sobą — do ideału,

A bohaterstwo dawnych dni
Uświęci w walce ostatniej:
Gdzie miłość zmaże plamy krwi
I ucisk zwycięży bratni.

WIECZYSTE PIĘKNO.

STANISŁAWOWI KRZEMIŃSKIEMU.

Wieczyste piękno daremnie dla ślepych
Roztacza wkoło barw i blasków przepych;
Daremnie jasne promienie, jak gońce,
Posyła ziemi to duchowe słońce —
Gdy niema oczu, którym światła promień
Mógłby otworzyć drogę uwidomień
I ponad błotem skrwawionych trzęsawisk,
Ponad prądami mijających zjawisk
Ukazać bytu zdrój słoneczny, złoty,
Przenikający kolejne żywoty,
I ciągły przypływ tej świetlanej fali,
Co łańcuch istnień wiecznie doskonali.

Lecz chociaż dotąd jeszcze ziemskie rody
Nie widzą wyższej harmonii i zgody
I błądzą w cieniu bezsłonecznych krain
Z piętnem przekleństwa, jakie nosił Kain —

To wciąż powoli istniejąca siła
Potrzebne zmysły będzie im kształciła;
I tak, jak niegdyś, pod fal światła wpływem,
Ślepy twór na świat błysnął okiem żywem,
Tak ślepa ludzkość w przyszłości zdobędzie
Do wyższych zadań konieczne narzędzie.

A gdy do światła otworzy swe oczy, —
Ze wstrętem spojrzy na krew, co ją broczy,
Na posiew zemsty, który się odnawia
Z ziarn jadowitych krzywdy i bezprawia;
Na barbarzyństwa szalejący nierząd;
Co świat napełnia walką dzikich zwierząt;
Na źródła szczęścia, zatrute tak marnie
Przez dobrowolnie stwarzane męczarnie...
Spojrzy ze wstydem — i, jak z snu zbudzona,
Ku czystym blaskom wyciągnie ramiona
I pokieruje swoje przyszłe dzieje
Gdzie piękno, dobro i prawda jaśnieje...

PIGMALION.

PANI MARYI I MARYANOWI SOKOŁOWSKIM.

Jam cię wydobył z marmurów spowicia,
Gdzie spoczywałaś bez kształtów na wieki,
Nie powołana przez bogów do życia;
Jam sercem cień twój odszukał daleki,
Błądzący w istot niestworzonych rzędzie;
Ja cię przeniosłem przez ciemne krawędzie
Snu i nicestwa na ten świat słoneczny.
Twojej piękności dając wyraz wieczny.

Stworzyłem ciebie swojej piersi tchnieniem...
I moja dusza w marmur moc przelała,
Ażeby martwym przestał być kamieniem
I przybrał powab dziewiczego ciała,
I zadrżał drżeniem bijącego łona,
I tchem rozkoszy, którym ożywiona
Zdajesz się na świat wybiegać z ukrycia,
Spragniona blasków, miłości i życia.

Dałem ci senne i spokojne trwanie,
I słodkich wruszeń dałem wdzięk zwodniczy,
Przeczucie szczęścia, miłości zaranie,
Uśmiech i wyraz niebiańskiej słodyczy —
Wszystko ci dałem, wszystko, co potrzeba,
Prócz jednej iskry życiodajnej z nieba:
I oto teraz zgryzota mnie kruszy,
Że dając tyle — nie mogłem dać duszy.

Bóstwa, co sięgnąć śmiertelnym nie dadzą
Po tajemniczą, boską moc tworzenia,
Karząc mię zaraz nieprzepartą władzą,
Do twej postaci przykuły z kamienia,
I moje serce miłością wybucha
Do tego kształtu, co stanął bez ducha,
I burza uczuć namiętna i wrząca
O twe kamienne stopy się roztrąca.

Przy tobie każda inna piękność blednie
Jako noc w chwili, gdy świta poranek,
Nie dla mnie teraz rozkosze powszednie,
Nie dla mnie zwykłe pieszczoty ziemianek,
Nie dla mnie żywa usteczek wymowa,
Ni uśmiech, który w rumieńcu się chowa;
Bo tu na ziemi i w ciemnym Erebie
Nie będę żadnej kochał — oprócz ciebie.

Lecz próżno chciwie wyciągam ramiona
I próżno wszystkie powtarzam zaklęcia...
Bo ty nie zstąpisz drżąca i stękniona,
I nie upadniesz w otwarte objęcia;
Ogniem się piersi twoje nie zapalą
I nie poruszą żywą pragnień falą;
W twych oczach płomień nie zabłyśnie świeży
I serce na mem sercu nie uderzy.

Usta, co chylić zdają się tak skromnie,
Czekając pierwszych pocałunków świtu, —
Te się miłośnie nie przybliżą do mnie,
Nie zleją z memi w jedną pieśń zachwytu!
Ty nie odpowiesz choć jesteśmy sami,
Dreszczem rozkoszy, rumieńcem i łzami.
I nie zanurzysz duszy mej widomie
W wspólnego szczęścia świetlanym ogromie,

Zawsze stać będziesz nieruchoma, cicha
W marzeniu z łona martwości wysnutem
I sercu memu, co z pragnień usycha,
Na skargi niemym odpowiesz wyrzutem:
Że cię z nicości powoławszy czarnej,
Dałem istnienia tylko pozór marny;
Będziesz mi wiecznie przypominać winę,
Za którą cierpię, szaleję i ginę.

Lecz niech tak będzie żałować nie mogę,
Żem ciebie stworzył i ukochał razem,
Bom twoim kształtom w przyszłość wytknął drogę,
Ukrywszy płomień pod milczącym głazem...
I po mej śmierci twa pierś marmurowa
Całą mą duszę weźmie i przechowa
I przystęp twórczym natnieniom otworzy
Dla przyszłych wieków nadchodzącej zorzy.

Więc jako światło w grobowcu płonące,
Zniknionych światów zabłyśniesz urodą,
I w ciemność iskier rozrzucisz tysiące,
Któremi ludzkość poobdzielasz młodą.
W czasach pokrytych barbarzyństwa cieniem
Ty będziesz niebios jasnem objawieniem,
Przed którem dzikie plemiona uklękną,
Czcząc w tobie boskie, nieśmiertelne piękno.

Piękność wystąpi jako nowa siła,
Co ponad żądzę zmysłową, namiętną,
Serca pokoleń będzie podnosiła,
Kładąc pragnieniom szlachetniejsze piętno,
I wschodząc w ciała czystości dziewiczej,
Krąg przeobrażeń przejdzie tajemniczy:
Aż w ludzkich uczuć i czynów dziedzinie
Wieczyste ducha piękności rozwinie.

DZIEJE PIOSENKI.

Narodziła się w duszy poety
W łez mroku,
Wywołana miłością kobiety
Jako tęcza na marzeń obłoku;
Śpiewnych dźwięków odziana sukienką,
Drgnieniem serca dobyta z nicości, —
Przyszła na świat naiwną piosenką
Miłości.

Upajała melodyjnem tchnieniem
Pierś młodą
I nad starców rozwianem marzeniem
Słodkich wspomnień jaśniała pogodą;
Wzgórza brzmiały jej rozkosznem echem,
Przedrzeźniali ją Faunowie leśni,
Płoche Nimfy wtórzyły z uśmiechem
Tej pieśni.

Przeszły wieki świeżości młodzieńczej
I krasy;

Nikt się teraz różami nie wieńczy,
Wchodząc z troską codzienną w zapasy;
Nie słuchają już nimfy na łące
I nie wtórzą piosnką w wieczór letni:
Zagłuszyły dziś burze huczące
Głos fletni.

Jednak pieśń ta, starodawna, grecka,
Wciąż wraca!
Nieśmiertelnym swym uśmiechem dziecka
Chmurne niebo nad ziemią wyzłaca;
Wraca z każdą serc i wieków wiosną
Pełna dziwnej niespożytej siły —
I roztacza wkoło woń miłosną
Z mogiły.

II.

RODZINNEMU MIASTU.

Jest jedno piękne ludowe podanie,
Co treścią swoją do łez mnie porusza:
Lud prosty mniema, że gdy czas nastanie,
W którym już ciało ma opuścić dusza,
Zanim w nadziemskim utonie błękicie,
Powraca jeszcze wstecz przez swoje życie...

I zwolna idzie przebytym już śladem
Żegnać to wszystko, co jej drogiem było,
Raz jeszcze ujrzeć w świetle grobu bladem
Miejsca, gdzie niegdyś żywiej serce biło!
I tak dochodzi aż w dziecinne lata
I nad kolebką staje znów skrzydlata;

Jako wędrowiec smutny i zmęczony
Kąpie się znowu w jasnych wspomnień zdroju
I błogosławi swe rodzinne strony —
I wtedy z ziemi odchodzi w pokoju,
Niosąc na skrzydłach w krainę wieczności
Najszlachetniejsze marzenia młodości.

To wszystko prawdą mnie się dziś wydaje —
Bo choć sam jeszcze do żywych się liczę,
Za każdym krokiem, co mi pozostaje,
W tył poza siebie odwracam oblicze
I moja dusza wyrywa się smutna
Tam, gdzie miłością była tak rozrzutna.

I często cichym gwiaździstym wieczorem,
Gdy swoim blaskiem księżyc do mnie wchodzi,
Gdy anioł ciszy na mem sercu chorem
Kładzie swe dłonie i boleść łagodzi, —
Czuję, jakobym był już tylko cieniem,
Ulatającym z księżyca promieniem.

Wtedy, ach, idę po srebrzystej fali
I całą drogę minioną odnawiam;
Pozdrawiam ludzi, co mnie dzieckiem znali,
Gaje i łąki i pola pozdrawiam,
I zatrzymuję się nad każdą miedzą,
Gdzie złote mary lat dziecinnych siedzą.

Droga mnie wiedzie do starego grodu,
Otoczonego ramionami Prosny:
Tam, wśród alei kasztanowych chłodu,
Czerpałem tchnienie pierwszej życia wiosny,
Co w cudowności szatę się obleka,
Jak sen zstępuje i jak sen ucieka,

Dziś wywołane pamięcią promienie
Złocą mi pasma zielonych wybrzeży
I znów anielskie śle mi pozdrowienie,
Jak niegdyś rankiem dzwonek farnej wieży,
I całe miasto w oczach się powiększa
Przez mgłę tęsknoty, co wszystko upiększa,

Jak tam spokojnie płynie ludzkie życie,
Mierzone dźwiękiem słodko brzmiących godzin!
Jak wody Prosny w łagodnem korycie,
Dnie upływają w kółku cichych rodzin,
I z domowego ogniska blask strzela,
Który przechodnia oczy rozwesela.

Ach! z tem ogniskiem dusza moja zrosła
I brała z niego macierzyńskie ciepło,
Zanim daleka fala mnie uniosła
Na brzeg, co dłonią pochwyciłem skrzepłą:
Więc gdy te domy i serca obaczę,
Jak dziecko ręce wyciągam i płaczę.

Bo cóż słodszego nad rodzinny związek,
Co wielkiem drzewem jedności wyrasta
I, pełen wiecznie zielonych gałązek,
Ocienia sobą cały obręb miasta?
I nad tę wiarę, która wszystko zbliża
W nawie kościelnej u jednego krzyża?

I cóż świętszego nad domowe cnoty,
Nad tę tradycyę żywą, starożytną?...
Cóż jaśniejszego nad ów szczerozłoty
Wesoły uśmiech, którym twarze kwitną?
I nad tę cichą zacnych serc zażyłość,
Co niesie szczęście, niosąc z sobą miłość!

Tak mi to wszystko cudnie się uśmiecha,
Tak mnie ta przeszłość pociąga znikniona, —
Że szukam wzrokiem, gdzie jest owa strzecha,
Pod którą spocznę wśród przyjaciół grona...
Ale napróżno... bo w mej idealnej
Podróży błądzę jak cień — niewidzialny.

Zresztą już moi przyjaciele starzy
Po większej części poszli na spoczynek;
Rodzinna ziemia lekkim snem ich darzy...
Więc im dać muszę łzę na upominek!
A z tych, co żyją, mało kto mnie wspomni:
W pamięci ludzkiej nikną nieprzytomni.

Z czasem powoli wszystko się zaciera,
A więc i moje zatarły się ślady!...
Stary park na mnie z zdziwieniem spoziera,
Pytając: »Co to za przechodzeń blady?«
I nawet mury wahają się szkolne
Rozpoznać we mnie swe dziecko swawolne!

Chociaż przechodzę około okienka,
Pod które dawniej zbliżałem się z drżeniem,
Już w niem nie siedzi figlarna panienka,
Co była pierwszej miłości marzeniem —
I tylko gzymsy opuszczone sterczą
I patrzą na mnie dziwnie i szyderczo.

Tylko sny dawne zlatują się do mnie,
Spływając łukiem różnobarwnej tęczy...
I widzę wszystko, com śnił nieprzytomnie,
Nad nurtem rzeki wsparty na poręczy...
Lecz te marzenia nie wydały plonu:
I jestem smutny — smutny aż do zgonu.

Jednak nie chciałbym teraz mej żałoby
Zawiesić chmurą nad poczciwym grodem;
Chciałbym na boku pozostawić groby,
A zejść się z życiem szlachetnem i młodem,
Co, jak bluszcz swoją latorośl przeciska
Do słonecznego światła — przez zwaliska.

Chciałbym z młodzieżą w kielichy uderzyć
I ze starymi pogwarzyć przy winie,
W młodość wskrzeszoną węgrzynem uwierzyć
I nucić piosnkę o psotnej dziewczynie
A skończyć głośnym, wesołym toastem
Na powitanie z ukochanem miastem.

I chciałbym objąć w uścisku serdecznym
Ziemię i mury, i wody, i ludzi...
Ale czas wracać szlakiem nadpowietrznym,
Bo już jutrzenka słońce ze snu budzi
I księżycowe gasnące promienie
Już mnie wzywają w błękitne przestrzenie.

Tak więc znikając z jasności porannej,
Dobrych aniołów polecam was pieczy:
Niech promień łaski nieba nieustannej
Poczciwe serca przed złem ubezpieczy,
I Ten, co wszystkich w przyszłość nas posuwa,
Nad starym grodem niech Bóg zawsze czuwa!

III.

ECHO KOŁYSKI.

Gdym jeszcze dzieckiem był,
Budzącem się na świat,
Gdy wątły życia kwiat
Jeszcze się w pączku krył, —
Na łono mnie matka brała,
Pieściła i całowała, —
Gdym jeszcze dzieckiem był.

Pamiętam po dziś dzień,
Jak kojąc płacz i gniew,
Nuciła tęskny śpiew,
Co falą słodkich brzmień
Dobywał uśmiech nanowo —
I każde piosnki słowo
Pamiętam po dziś dzień.

»Dziecino, nie płacz! nie!
Rozjaśnij twoją twarz;
Dopóki matkę masz,

Nie może ci być źle!
Na mojem oprzej się łonie,
Ja cię przed bolem zasłonię —
Dziecino, nie płacz! nie!

»Chowaj na później łzy!
Dziś jeszcze anioł stróż
Girlandą białych róż
Okala twoje sny,
Na tkance marzeń pajęczej
Maluje kolory tęczy, —
Chowaj na później łzy!

»Rozkoszą wszystko tchnie!
Śpiewa ci ptaków chór,
W twem niebie niema chmur,
Ani goryczy w łzie;
Życie uśmiechem cię wita
I każdy kwiat ci rozkwita, —
Rozkoszą wszystko tchnie!

»Więc duszę swoją pieść
Jutrzenką rajskich farb,
I, czystych uczuć skarb
W niewinnej piersi mieść!
Byś mógł zaczerpnąć w tym zdroju,

Gdy ci przybraknie spokoju —
Więc duszę swoją pieść!

»Bo przyjdzie inny dzień,
W którym, o synu mój!
Napotkasz tylko znój
Zamiast rozkoszy tchnień;
Zdrada ci oczy otworzy,
Nieufność ducha zuboży —
Bo przyjdzie inny dzień.

»Przyjdzie ci płacić krwią
Serdecznych marzeń dług,
Zdepce cię w prochu wróg,
Znieważy boleść twą;
Szlachetny poryw zapału
I miłość dla ideału —
Przyjdzie ci płacić krwią.

»I ból swój będziesz niósł,
Samotny sercem, w świat!
Zawodów, złudzeń, zdrad
Będzie ci wieniec rósł,
Cierniami otoczy skronie,
Skrępuje na zawsze dłonie —
I będziesz ból swój niósł.

»Na taki życia zmrok,
Rozbicia straszną noc,
Zachowaj ducha moc
I jasny dziecka wzrok.
Niech ci wspomnienie kołyski
Przyniesie matki uściski —
Na taki życia zmrok!

»Pomimo gorzkich prób,
Zawsze, ach! dobrym bądź!
Z miłością drugich sądź
I patrz z nadzieją w grób.
Nie zatrać dziecinnej wiary,
Nie żałuj swojej ofiary —
Pomimo gorzkich prób.

»O, nie mów, dziecię me!
Że marny życia trud,
Że wszystko fałsz i brud,
A prawdą tylko złe;
Że trzeba wątpić i szydzić,
Pogardzać i nienawidzić —
O, nie mów, dziecię me!

»Na matkę wspomnij swą,
Na miłość, co bez plam;

Zwątpieniu zadaj kłam
I obmyj duszę łzą;
Wierz w piękność ducha słoneczną
I w miłość, która jest wieczną, —
Na matkę wspomnij swą!«

TĘSKNOTA.

Obłoki, co z ziemi wstają
I płyną w słońca blask złoty,
Ach, one mi się być zdają
Skrzydłami mojej tęsknoty.

Te białe skrzydła powiewne
Często nad ziemią obwisną;
Łzy po nich spływają rzewne,
Czasem i tęczą zabłysną.

Gwiazdy, co krążą w przestrzeniach
Po drogach nieskończoności,
Są one dla mnie w marzeniach
Oczami mojej miłości.

Patrzę się w ciemne odmęty,
Te wielkie ruchome słońca —
I ja, miłością przejęty,
Patrzę i tęsknię bez końca.

ANIELSKIE CHÓRY.

Anielskie śpiewają chóry
W gwiaździstem błękitów morzu,
Wśród nocnej ciszy, przy łożu
Sennej natury.

Śpiewają tej biednej ziemi,
Co, wiecznie w świeżej żałobie,
Jak matka płacze na grobie
Za dziećmi swemi.

Śpiewają ludziom, co dyszą
W codziennym a krwawym trudzie;
Lecz biedni, zmęczeni ludzie
Pieśni nie słyszą.

I tylko ci, którzy toną
W wielkiej miłości pragnieniu,
Ci słyszą w serc swoich drżeniu
Tę pieśń natchnioną!

BEZ GRANIC.

Potoki mają swe łoża
I mają granice morza
Dla swojej fali;
I góry, co toną w niebie;
Mają kres dany dla siebie;
Nie pójdą dalej!

Lecz serce, serce człowieka,
Wciąż w nieskończoność ucieka —
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie —
I wierzy, że w swojem łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

IDŹ DALEJ!

Wzywałem ciemności: niech wstanie
I niech mnie pogrąży w noc ciemną!
Wzywałem milczące otchłanie,
By łona zawarły nade mną;

Wzywałem strasznego anioła:
Niech ślad mój zagładzi na ziemi;
Niech wszystkie dnie moje odwoła,
Niepamięć rozpostrze nad niemi!

Lecz próżno wzywałem litości,
Jak inni przedemną wzywali...
Głos tylko mnie doszedł z ciemności,
Co wołał: »Idź dalej, idź dalej!«

DO . . .

Przekleństwa synu! od Kaina piętnem
Straszysz w dzień biały Chrystusową trzodę,
Przybywaj do mnie; w uciśnieniu smętnem
Znajdziesz dla siebie gorycz i ochłodę.
Znanyś mi zdawna, gdy życiem namiętnem
Przyniosłeś duszy swojej wieczną szkodę,
Rzuciwszy cnoty gościniec utarty
I do bram niebios biegnąc — i odparty.

Lepiej ci było wraz z bracią Ablową
Przeżuwać życie na pokory zębie,
Kochać na rozkaz i wierzyć na słowo,
Paląc na stosie ofiarnym gołębie —
Niźli do boju stanąwszy z Jehową,
Przeglądać bytu i nicestwa głębie:
Nie byłbyś nosił fatalnej pieczęci,
Na którą z wstrętem patrzą wniebowzięci!

Lecz tem, czem jesteś skazany na piekło,
Tem cię mieć pragnę, gościu mój posępny!

Bo jakieś echo podziemne mi rzekło,
Że los nasz jeden, że i ja występny, —
Czemu tem bardziej wierzyć teraz muszę,
Gdy jasne niebo z piersi mej uciekło
I sam zostałem, nieprzystępny skrusze,
A tylko jednej rozpaczy przystępny.

Razem więc z tobą, synu potępienia,
Nad Babilonu wodami usiędziem,
A nieśmiertelni wielkością zwątpienia,
Z swej piersi głosu strasznego dobędziem;
Z Prometeuszów wiecznością cierpienia
I z sępem żądzy, męczarni narzędziem,
W własnej niemocy skowani łańcuchy,
Zostaniem — bratnie dwa stracone duchy!

Lecz nim utoniem w niepamięci fali,
Przed okiem ludzi skryci w obłok czarny;
Niech ich pieśń nasza gromem wstydu spali,
Że w nikczemności pędząc żywot marny,
Płazowe szczęście, nie wielkość, obrali!
Niech ich ród, szczęsny, cierpliwy i karny,
Z pokorą znosi losów wyrok twardy:
My im zapłaćmy jałmużną pogardy.

PROŚBA.

O, mój aniele, ty rękę
Daj!
Przez łzy i mękę,
Przez ciemny kraj,
Do jasnych źródeł ty mnie doprowadź, —
Racz się zlitować!

Serce me zwiędło, jak marny
Liść;
Wśród nocy czarnej
Nie wiem, gdzie iść,
I po przepaściach muszę nocować, —
Więc ty mnie prowadź!

To, com ukochał, com tyle
Czcił,
Zdeptane w pyle
Padło bez sił;
Rozpacz i hańbę widząc po drodze,
Stanąłem w trwodze.

Widziałem zbrodni zwycięski
Szał,
Widziałem klęski
Duchów i ciał:
Więc obłąkany boleścią chodzę
We łzach i trwodze.

I nie wiem teraz, w co wierzyć
Mam?
Jak dzień mój przeżyć
W ciemności — sam?
Nie wiem, czy zdołam wytrwać niezłomnie:
Więc ty zstąp do mnie!

Lękam się zstąpić z wątpieniem
W grób,
I z utęsknieniem
Do twoich stóp
Chylę się prośbą i nieprzytomnie
Wołam: zstąp do mnie!

Pokaż mi tryumf w przyszłości
Dniach,
Tryumf miłości
Kupiony w łzach,
I ludu mego zwycięstwo jasne
Pokaż, nim zasnę!

Pokaż mi ciszę wschodzących
Zórz,
Zmartwychwstających
Królestwo dusz:
A dbać nie będę o szczęście własne —
Spokojny zasnę...

ENDYMION.

Blada Selene w błękity rzucona
Do drzemiącego wiecznie Endymiona
Co noc miłośnie wyciąga ramiona —

I czoło w srebrne ubiera promienie,
Kładąc na ustach senne pozdrowienie
I pocałunku wiecznego milczenie.

I ten cień cichy umarłych pasterza,
Nieprzebudzony w uściskach kochanki,
Co noc się nową młodością odświeża
I we mgłach tonie w różane poranki.

A przechylony w rozkosznem wygięciu,
Z wieczną pięknością, co mu z twarzy świeci,
Spoczywa cicho u lubej w objęciu
I z nią w zachwytów nieskończoność leci.

I tak przez wieki, pojąc się zachwytem,
Spleciony smutnej ogniwem miłości,

Grobów legendą jest i rajskim mytem,
Co zaświatowe rozjaśnia ciemności.

O! wieczność taką zyskać sobie senną,
Z takim aniołem, co życia nie budzi,
Lecz tylko duszę kołysze promienną
I łzami czoło rozpalone studzi —

I być strażnikiem grobów, które proszą
O łzy i miłość — i być tylko cieniem,
Którego skrzydła anielskie unoszą
Między nicością a grobów marzeniem:

To warto drugą wiecznością boleści
Kupić ją sobie i z ducha pogodą,
Za żywot, co się już w piersiach nie mieści,
Wziąć nieśmiertelność marzeń wiecznie młodą!

Za tym więc pójdę snem, i za tem niczem,
Tonąć w objęciu słodkiem i dziewiczem,
Co grób osłania życiem tajemniczem...

Aż ta miłości pełna i stęskniona
Do mnie nowego zstąpi Endymiona,
I pocałunkiem czas mi zamknie — ona!

USPRAWIEDLIWIENIE.

Odtrąciłem od siebie zdaleka
Samolubną boleść, co się żali;
Jednak w piersiach mam serce człowieka
I nie jestem ukuty ze stali.

Więc, dźwigając swoich smutków brzemię,
Czuję nieraz, że mi braknie sił,
I upadam zmęczony na ziemię,
Odkrywając rany, którem krył.

Lecz słabości nie wstydzę się swojej,
Ni litości cudzej, którą czerpię:
Mnie czasami żądać jej przystoi,
Gdyż nietylko sam za siebie cierpię.

Wszystkie ludzkie nędze i rozpacze
W swojem sercu pomieszczone mam;
Gdy nad szczęściem utraconem płaczę,
To nad czyjem? — nie wiem dobrze sam!

ROZŁĄCZENIE.

Ujrzał ją znowu po latach
Z krzyżykiem w ręce...
Jak spała cicho na kwiatach
Po życia skończonej męce;
Ujrzał, gdy każde swe słowo,
Każde spojrzenie łaskawsze,
Uniosła w ciemność grobową
Na zawsze.

Jak obcy przyszedł tu do niej
W dzikiej rozpaczy,
Widząc, że główki nie skłoni,
Nie wstanie i nie przebaczy:
Więc boleść piersi mu targa;
I stoi blady, jak chusta,
I straszna tłoczy się skarga
Przez jego usta —

I mówi: — »Już leżysz w trumnie...
Nic cię nie wzruszy;

Nie spojrzysz litośnie ku mnie,
Nie zdejmiesz ciężaru z duszy!
Nikt losów moich nie zmieni
I klątwy nikt nie odwoła;
Nie sięgnie w morze płomieni
    Ręka anioła.

»Nie dojdzie do twego ucha
    Moje wołanie:
Przestrzeń przegradza nas głucha,
Wieczyste, ciężkie rozstanie;
Na zawsze pomiędzy nami
Ciemna się przepaść rozwarła...
Mnie czoło występek plami —
    A tyś umarła!

»Dla innych nadzieją błyska
    Grobowca łono,
Bo wiedzą, że duch odzyska
Miłość na ziemi straconą;
Dla innych rozstania chwile
Szybko uniesie czas rączy,
I znów kochanków w mogile
    Wieczność połączy:

»Lecz mnie zgon również jak życie
    Od ciebie dzieli...

Obcą mi będziesz w błękicie,
Jak tu na zmarłych pościeli!
Przedział otworzy daleki
Ta śmierć, co innych przybliża;
Bo nas rozdziela na wieki —
Znak krzyża!«

GAŁĄZKA JAŚMINU.

Tam pod niebem południa palącem,
Szło ich dwoje pod mirtów alei,
Słów namiętnych rzucając tysiącem;
Lecz nie było tam słowa nadziei:
Pożegnanie ostatnie, na wieki...
To trwa długo... i wstał księżyc blady,
A westchnienia powtarzał daleki
    Szum płaczącej kaskady.

Obcy młodzian opuszczał dziewczynę,
Co jak powój w jego serce wrosła,
I porzucał słoneczną krainę,
Lecąc na śmierć, gdzie rozpacz go niosła;
Więc, targając serdeczne ogniwa,
Czuł, że serce swej piersi wydziera
I że młodość, ta jasna, szczęśliwa,
    W jej uścisku umiera.

Biedne dziewczę zrozumieć nie zdoła,
Że jest wyższa nad miłość potęga,
Że głos smutny, głos grobów anioła,
W jej objęciach go jeszcze dosięga:
Więc się skarży, jak dziecię pieszczone:
— »O, niedobry, jak mnie możesz smucić!
»Twoje słowa mnie ranią — szalone!
»Nie mów, że chcesz mnie rzucić!

»Cóż mieć możesz na ziemi droższego
»Nad mą miłość?... Gdy ta cię nie wstrzyma —
»Idź... — Tu głosu zabrakło drżącego —
I spojrzała smutnemi oczyma:
— »Patrz, me serce omdlewa mi w łonie,
»Łez mi braknie i w oczach mi ciemno...
»Masz tam ginąć gdzie w dalekiej stronie,
»To umrzyj razem ze mną!

»Tak! o, dobrze! Nie będę po tobie
»Więcej płakać, ni gorzko się smucić;
»Ale razem w jednym spoczniem grobie —
»I nie będziesz już mnie mógł porzucić!
»Wieczność całą prześnimy tak błogo...
»I przebaczy nam Bóg miłosierny!
»Ja prócz ciebie nie mam tu nikogo:
»A ty idziesz, niewierny!?

»Nie chcesz umrzeć i nie chcesz żyć razem?...
»Idź, szczęśliwy! Twa kochanka biedna
»Przed cudownej Madonny obrazem
»Szczęście tobie u Boga wyjedna.
»Teraz jeszcze mej prośbie serdecznej
»Uczyń zadość, bo cierpię ogromnie,
»Gdy pomyślę, że w rozłące wiecznej
»Możesz zapomnieć o mnie.

»Tyś tak lubił wonny kwiat jaśminu;
»Ja go odtąd na mem sercu noszę...«
I odpięła chusteczkę z muślinu,
Mówiąc dalej: »Weź gałązkę, proszę,
»A ta druga na sercu zostanie,
»Mówić będzie o tobie, jedyny!
»Gdy nie przyjdziesz na moje wołanie —
»Łzą się zroszą jaśminy«.

I oparta na jego ramieniu,
Wpół zemdlona, kwiaty do ust ciśnie...
I tak stoją oboje w płomieniu —
I ust dwoje na kwiatach zawiśnie...
Aż wreszcie wydarł się z objęcia
I rzekł do niej: — »O, żegnaj mi, droga:
»Gdy mnie twoje nie zbawią zaklęcia —
»Spotkamy się u Boga!

»Ja nie mogę pozostać przy tobie,
»Choć twój jestem na wieki, dziewczyno!
»Bo mnie duchy wzywają w żałobie,
»Bym szedł z tymi, co marnie dziś giną,
»Słyszę okrzyk z krwawego zagonu,
»Słyszę matkę wołającą: Synu! —
»Lecz zachowam, zachowam do zgonu
»Tę gałązkę jaśminu...«

UWIELBIENIE.

Umarły, jeszcze wielbić będę ciebie,
I nie zapomnę pod ziemią, czy w niebie
O twej jasności;
Boś ty mi była nie próżnem marzeniem,
Nie bańką zmysłów tęczowej nicości,
Lecz byłaś ducha ożywczem pragnieniem
Wiecznej miłości.

Nie otoczyłaś mnie pieszczotą senną,
Ani też falą spłynęłaś płomienną
Na pierś stęsknioną;
Nie wprowadziłaś mnie na róż posłanie,
Gdzie tylko ciała w upojeniu toną;
Lecz mi piękności dałaś pożądanie, —
Moc nieskończoną.

RÓŻNE ŁZY.

Szedłem gajem samotny i cichy...
I spotkałem dziewicę nadobną;
Ta łzy lała na kwiatów kielichy
I twarz miała, jak Niobe żałobną.
Jej westchnienia z lekkiem wiatru drżeniem
W jedną falę spływały harmonii
I w powietrzu mieszały się z tchnieniem
Wonnych mirtów, jaśminu, lewkonii.

Łez widokiem wzruszony, co cieką,
Zapytałem: dlaczego się smuci?
Na to rzekła: »Odjechał daleko,
I nie wraca, i może nie wróci«.
Te wyrazy, tak proste i smętne,
Ostrzem noża utkwiły w mem sercu —
I tuliłem pragnienie namiętne,
Idąc dalej po łąki kobiercu.
I usiadłem nad morzem samotny,
Wyklinając me życie tułacze,

I łzy łałem na piasek wilgotny,
Że już teraz nikt za mną nie płacze...
Me westchnienia przygłuszył szum fali,
Serce moje pękało z żałości,
Myśl za morze połynęła dalej...
I zostałem jako głaz w ciemności.

JEDNA CHWILA.

Zobaczyłem ją tylko na chwilę —
I już pewnie nie ujrzę jej więcej...
Dziwny los!
W moich piersiach wstało pragnień tyle,
Moje serce zabiło goręcej
Na jej głos:

A jednakże zostanę nieznany,
Nie wywołam żadnego wspomnienia,
Ani łzy,
I nie wiedząc, czy byłem kochany,
Nieziszczone uniosę pragnienia,
Próżne sny.

Gdym ją ujrzał, myślałem, że ona
Przyjdzie do mnie, z anielskiem spojrzeniem
Zwróci twarz,
I wyciągnie ku mnie swe ramiona,
Mówiąc: »Jestem twojem przeznaczeniem:
Wszak mnie znasz?«

I myślałem, że przed nią uklęknę
I zawołam w nadziemskiej ekstazy
Słodkim śnie:
»Jesteś wszystkiem, co dobre i piękne!
Ja cię kocham nad wszystkie wyrazy:
Kochaj mnie!«

Lecz złudzenie moje krótko trwało:
Poszła dalej — zimno, obojętnie —
Próżnom drżał!
Nie wiedziała, co się ze mną działo,
Nie przeczuła, żebym dla niej chętnie
Życie dał;

I zniknęła, jak w sennem marzeniu...
A jam jeszcze w naszych uczuć wierzył
Cichy ślub;
Bom w tem krótkiem przelotnem widzeniu
Długie lata słodkich wzruszeń przeżył
U jej stóp.

POŻEGNALNE SŁOWO.

O drogę moją pytasz się i zżymasz,
Że ta wykracza poza słońc twych sfery...
Nie chcę cię łudzić — widzisz: jestem szczery, —
Nie pójdziesz za mną, lecz mnie nie powstrzymasz!
Gdzie świat mój? słońce? gdzie jest moja meta?
Może meteor błędny, nie kometa,
Chwile nadziemskie olśniwszy etery,
Zgasnę w ciemnościach: więc imię me wymaż
Z listy twych bratnich planet, co bez końca
Kręcić się będą koło twego słońca.
Może kataklizm straszny mnie tam wiąże
Z nieznajomego biegunami świata...
Może fatalizm pcha mnie, a zatrata
Jedynym kresem, do którego dążę...
Na cóż mi wiedzieć, gdy wytknięta droga?
A resztę zdałem na los, czy na Boga...
Jam już zmęczony tą ciągłą gonitwą,
W której co chwila duch mój łamał skrzydła;
Nie mogłem niebios przejednać modlitwą,
A Syzyfowa praca mi obrzydła;

Nie chcę już ducha okiełznać w wędzidła,
Jak niesfornego rumaka przed bitwą,
By zwyciężonym powrócić z wyłomu,
Unosząc hańbę do pustego domu.

Ach! w tej bezbrzeżnej pustyni dla ducha
Niema gdzie widzeń swoich ucieleśnić!
Więc chociaż serce jak wulkan wybucha,
Samotne musi wieczność gniewu prześnić
I do grobowców przywyknąć milczenia,
Nim znajdzie w prochach ciszę zakończenia.

Wolę więc, pełen pogardy i wstrętu,
Odwrócić moje obłąkane oczy
Od tego lądu próżnego lamentu,
Od tej przyszłości, którą robak toczy —
I, zapatrzony w mój ideał biały,
Stać jako posąg na ból skamieniały.

A kiedy słońce gasnące oświeci
Ostatni dzień mych marzeń i upadek —
Sam swojej hańby i rozpaczy świadek,
W milczącą przepaść duch się mój rozleci
I nie zostawi dla nas nic po sobie,
Cobyście mogli lżyć litością w grobie.

W CICHEJ PRZYSTANI.

Kiedy już umrę, każ mi, matko miła,
Włożyć do trumny białe ślubne szaty:
Będę o cichych zaślubinach śniła,
Ubrana w mirtu i pomarańcz kwiaty,
Niech śmierć mi wdzięku marzeń nie umniejsza...
W marzeniach serca leży dziwna siła:
Od samej śmierci miłość jest silniejsza!

Nie wiem, dlaczego, lecz w ostatniej chwili
Inaczej patrzę na życia koleje:
Serce już losom oprzeć się nie sili,
Przebyta boleść cichnie i maleje,
I wszystko znika, nakształt snu przykrego,
Który blask dzienny na zawsze rozwieje,
Choć w oczach pełno jeszcze łez od niego.

Dawniej zbyt często duch bólem miotany,
Stawał oporem przeciw woli bożej,
Smutnych przeznaczeń żądając odmiany
I zwrotu szczęścia utraconej zorzy;

Za ziemskiem rajem tęskniąc najgoręcej,
Bezsilną walką powiększał swe rany
I nad swą boleść nic nie widział więcej...

Dziś, gdyby anioł, co stoi nade mną,
Dał mi moc losem rozrządzić do woli
I po swe szczęście wrócić w przeszłość ciemną —
Już-bym nie chciała... dusza gdy przeboli
Raz wszystkie ziemskie cierpienia serdeczne,
Nie chce się nagiąć do znikomej doli
I tylko sięga po to — co już wieczne!

Dziś mogę patrzeć, wolna od goryczy,
Na te palące przeszłości widziadła;
Ból już na grozie stracił tajemniczej
I wymarzona szczęśliwość pobladła,
I wszystkie straty, najcięższe w wspomnieniu,
Spływają w jeden obraz malowniczy,
Zstępując do mnie w cudnem oświetleniu.

Z spokojem patrzę na tę postać drogą,
Co prowadziła mnie w słoneczne światy, —
Na chwile słodkie, w których ludzie mogą
Własnych serc wonią poić się, jak kwiaty,
I żyć bez pragnień, czasu i przestrzeni,
Nie dotykając nawet ziemskiej szaty,
A tylko w słońce miłości wpatrzeni.

Z równym spokojem spoglądam na cienie,
Które zaćmiły mój obrazek złoty;
Widzę noc czarną... trwogę... rozłączenie...
Próżne nadzieje, żale i tęsknoty.
Nawet śmierć jego wspominam z spokojem,
A z piersi żadne nie rwie się westchnienie
I łzy już żadnej niema w oku mojem.

A jednak we mnie miłość nie umarła,
Tylko pełniejszej żąda szczęścia miary:
O nieśmiertelność skrzydła swe oparła,
Poza grób sięga jasnym wzrokiem wiary
I przerzucona w drugą światów stronę
Znajduje wszystko, co tutaj mrok szary
Pokrył dla oczu śmiertelnych zniknione.

Jestem zbyt pewną, że cudowna siła,
Która dwa serca łączy kochające,
Choćby nie istniał, jeszczeby stworzyła
Raj, gdzieby mogły zejść się po rozłące:
Więc kiedy przyjdzie ów cichy cherubin
Zamknąć mi oczy, to ja będę śniła,
Że mnie kochanek wzywa do zaślubin...

ZMARŁEJ DZIEWICY.

Zasnęła cicho — i nic jej nie zbudzi:
Ani płacz siostry, ani matki łkanie,
Ani gwar obcych a ciekawych ludzi.
Co otoczyli śmiertelne posłanie;
Już jej dosięgnąć boleść nie jest w stanie —
Zasnęła cicho i nic jej nie zbudzi.

Na zawsze swoje zamknęła powieki —
Spokojna, blada, smutna narzeczona
Anioła, co ją poślubił na wieki;
Jakoby w jasny posąg zamieniona,
Zaziemskich widzeń jasnością olśniona —
Na zawsze swoje zamknęła powieki.

Ostatni uśmiech wykwitł na jej twarzy,
A obok niego dziwne zamyślenie...
Jeszcze się może nad jej kształtem waży
Zbiegłego życia rozwiane marzenie:
Więc choć ją wieczność ubrała w milczenie —
Ostatni uśmiech wykwitł na jej twarzy.

Z rozbitej czary idealnych marzeń
Piła zaledwie woń kwiatów wiosenną;
Od rozczarowań wolna i od skażeń
Rzuciła czarę pod urnę kamienną
I w sferę duchów wzlatuje promienną —
Z rozbitej czary idealnych marzeń.

Rozmiłowana w nieśmiertelnem pięknie,
Ukołysana pieśnią tajemniczą,
Ani się grobu ciemności ulęknie,
Ani zatęskni za życia goryczą;
Ale uwieczni swą piękność dziewiczą —
Rozmiłowana w nieśmiertelnem pięknie.

Mistrzowstwo śmierci i śmierci potęga!
Białego kwiatu utrwaliły białość.
Co życie w biegu niszczy i rozprzęga,
To śmierć obleka w harmonijną całość;
I nieskalaną daje doskonałość —
Mistrzowstwo śmierci i śmierci potęga!

W wiecznej pogodzie i w wiecznym spokoju
Zakwita róża mistyczna zachwytu...
Znikome kształty padły w życia boju;
Lecz to, co boskie, na fali błękitu
Wraca panować nad zmiennością bytu —
W wiecznej pogodzie i w wiecznym spokoju.

NADGROBEK.

Chwilę nad krwawym zbłąkany zagonem,
Wracam z pola znużony drogą nadpowietrzną,
Z próżnemi dłońmi, z sercem rozżalonem,
Kończąc wędrówkę marną, choć konieczną —
I wtył się zimną twarzą nie odwrócę,
Bo obojętnem jest mi to, co rzucę.

Nigdym się z ciemnych krain nie wychylił,
Ani rzeczywistości nie dotknąłem ręką,
Próżnom się stworzyć sferę życia silił:
Sen mi był życiem, przebudzenie męką, —
I z za ołoków chyląc się niechętnie,
Patrzałem na świat łzawo, choć namiętnie,

I nigdym w nikim nie znalazł oparcia,
Coby podzielił ze mną gorycz próżnych chęci:
Więc sam zostałem zawsze podczas starcia,
Bezsilność nosząc w cielesnej pieczęci —
I choć bojowych uniknąłem skażeń,
Zostałem zato bez plonu i wrażeń,

I nigdym usty nie dotknął drżącemi
Ust drugich, coby w serce miłość ziemską lały:
Senne mnie tylko widma kołysały —
I dziś me serce złożą do podziemi,
Gdzie rozsypane w proch śnić jeszcze będzie,
Że nad nim płaczą dziewicze łabędzie.

Ta czystość, grobu nimfom poślubiona
Dała mej mglistej duszy świąteczną pogodę,
I melancholii łagodnej zasłona
Spadła na dziwną narcyzów urodę,
Co, nie znalazłszy nic dla siebie w życiu,
We własnem musi utonąć odbiciu.

W wiązance wspomnień, zbieranych starannie,
Nic nie przeżyje chwilą jutra mej mogiły.
Błyszczałem rosą uczuć nieustannie;
Lecz i tę ptaki niebieskie wypiły...
I tyle tylko pozostanie śladu,
Co po tych perłach, startych piersią gadu.

Ani opróżnię miejsca wśród gromady,
Choć zniknie cieniu mego przeźroczysta białość;
Nie pójdę błądzić po księżycu — blady, —
I od zbudzenia zbawi mię ospałość;
I głuche nawet echa nie powtórzą,
Żem się już ukrył przed boleści burzą.

WSPOMNIENIE.

Ach, tam, gdzie pierwsza witała mnie zorza,
Gdzie tyle w życiu dosłyszałem gwaru,
Przez te zastygłe i umarłe morza
Wrócę do uczuć młodzieńczych pożaru,
Po kwiat się jeden schylę nad łez wodą:
A może znajdę swoją duszę młodą. —

Taką jak była w poranku stworzenia,
Gdy biegła witać świat ten dla niej nowy
Żądzą miłości, walki i cierpienia,
W blask się jutrzenki przybrawszy różowy,
I zakochany w własnych mar odbiciu,
Zaczęła pierwszy poemat o życiu.

O poemacie młodości, któż może
Na twe wspomnienie obojętnym zostać?
I widzieć ten sen i to kwiatów łoże,
Na którem jasna spoczywała postać
I choć na chwilę nie spłonąć rozkoszą
Wśród rajskch widzeń, które woń roznoszą?

W maju, w urocze bogatym poranki,
W kwitnącej życia chwili, z marzeń tęczy
Komuż nie spływa niebiańskiej kochanki
Widmo, co serce jak lutnię rozdźwięczy,
I, paląc piersi namiętnym oddechem,
Komuż nie porwie duszy niebios echem?...

Nikły meteor, lecz toruje drogę
I nieśmiertelność pragnień w piersiach szczepi:
Więc choć na widmie postawi się nogę,
Boleść mu nowy piedestał ulepi,
Gdzie stojąc, skrzy się różowym płomieniem...
Do chwili, w której wszystko zajdzie cieniem.

Gdzież jest to pierwsze rozkoszne zjawisko,
Co się do piersi mej tuliło drżącej?
Ach! tak daleko już i ach, tak blizko!...
Odchodzi zwolna do wierzby płaczącej,
Co ocieniała rozmarzone głowy,
Słuchając sennej słowików rozmowy...

Wracaj, o luba, wszakże zmierzch wieczorny
Zranione serca zwykł zbliżać do siebie...
Na ustach twoich zawisnę pokorny
I całą pamięć przeszłości zagrzebię;
Jak feniks z własnych powstanie popiołów
To opętane serce przez aniołów.

Czy pomnisz dzień ten omamień bez trwogi,
W którym miłości rzuciłaś mi słowo?
A jam ci światy chciał rzucić pod nogi
I innem życiem natchnąć je nanowo,
Bom się tak uczuł wielki, dumny, silny,
Że chciałem nawet wskrzesić świat mogilny.

Jeżeli pomnisz dzień ten i wyrazy,
Które się lały wezbranym potokiem,
Wiedz, że wciąż do tej wezbranej oazy
Wybiegam sercem i myślą i wzrokiem,
U tego źródła, co tak żywo bije,
Jak gołąb pióra obmywam i piję...

A gdy się zdrojem tych wspomnień odświeżę,
Gdy się upoję miłości tej wonią,
Znowu zaczynam kochać i znów wierzę,
Że zdołam jeszcze wzlecieć w niebo po nią;
I zapominam, com cierpiał i przeżył,
Bylebym jeszcze chwilę dłużej wierzył...

I zapominam, że mi już nie wolno
Powrócić w przeszłość jasną i szczęśliwą,
Że muszę naprzód drogą iść mozolną
I snuć z swej piersi pajęcze przędziwo:
Więc na to wszystko niepomny przez chwilę,
Chcę przybrać skrzydła i barwy motyle.

Lecz już napróżno! Duszy, co się wzbija,
Motyle skrzydła unieść już nie mogą!
Chwila upojeń bezpowrotnie mija...
I dziś trza pełzać wydeptaną drogą,
O żadne loty więcej się nie kusić,
Milczeć i serce do milczenia zmusić.

Do ciebie wrócić nie chcę i nie mogę,
Bo już zaginął dawny kształt młodzieńczy:
Długą przebyłem po przepaściach drogę.
I dziś już żadna róża mnie nie wieńczy.
Wolę się ukryć przed twym wzrokiem w cieniu
I żyć młodością wieczną w twem wspomnieniu.

Miałbym odsłonić przed tobą pierś pustą,
W której wygasła siła i namiętność?
Miałbym pozwolić pocałunku ustom,
Na których osiadł chłód i obojętność?
O, nie! na wieki wolę się rozłączyć,
Niż gorycz moją w twoje serce sączyć!

Tak więc odchodzę bez żalu, bez serca!
Słowiki wspomnień do snu już się kładą...
I tylko puhacz, posępny szyderca,
Słyszeć się daje. Ja twarz zwracam bladą
I przez dzielący nas przeszłości cmentarz
Rzucam pytanie: »Czy jeszcze pamiętasz?«

SONET.

Poco się budzą pragnienia szalone,
Gdy ich nie można ugasić napojem?
Poco się serce wyrywa stęsknione
Do burzy — gardząc ciszą i spokojem?

Poco chce zedrzeć przyszłości zasłonę
I nieskończoność zmieścić w łonie swojem
Kiedy zaledwie dotknie się spragnione
Usycha z żalu nad zmąconym zdrojem?...

Próżne zabiegi! wieczyste pragnienia!
Zwodnicze widma! któż was nie wyklina?
A jednak mimo klątw i złorzeczenia,

Każdy na nowo wraca i zaczyna
Szukać tej mary, co świat opromienia,
I o dawniejszych klęskach zapomina.

SONET.

Pierwsze uczucia — to kwiaty wiosenne!
Co się swą własną upajają wonią,
Przed żywszym blaskiem jeszcze w cień się chronią
I wierzą jeszcze w swe trwanie niezmienne.

Po nich, ach! inne, stubarwne, płomienne,
Znów zakwitają i za słońcem gonią
Wiedzą, że zwiędną — więc czasu nie trwonią
I gaszą tylko pragnienia codzienne.

A później znowu wspomnień astry blade
Wschodzą samotne na schyłku jesieni
I chcą trwać tylko, i walczą z ulewą,

Widzac w około martwość i zagładę —
A wkońcu jeden cyprys się zieleni,
Ponure, smutne rezygnacyi drzewo.

SONET.

Jednego serca! tak mało! tak mało,
Jednego serca trzeba mi na ziemi!
Coby przy mojem miłością zadrżało:
A byłbym cichym pomiędzy cichemi...

Jednych ust trzeba! skądbym wieczność całą
Pił napój szczęścia ustami mojemi,
I oczu dwoje, gdziebym patrzał śmiało,
Widząc się świętym pomiędzy świętemi.

Jednego serca i rąk białych dwoje!
Coby mi oczy zasłoniły moje,
Bym zasnął słodko, marząc o aniele,

Który mnie niesie w objęciach do nieba...
Jednego serca! tak mało mi trzeba,
A jednak widzę, że żądam zawiele!

SZKODA.

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni —
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni;
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni:
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą;
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać;
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia...
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.

ACH, JAK MI SMUTNO!

Ach, jak mi smutno! mój anioł mnie rzucił,
W daleki odbiegł świat,
I próżno wzywam, ażeby mi wrócił
Zabrany marzeń kwiat.
Ach! jak mi smutno! cień mnie już otacza,
Posępny grobu cień,
Serce się jeszcze zrywa i rozpacza,
Szukając jasnych tchnień;
Ale napróżno uciszyć się lęka,
I próżno przeszłość oskarża rozrzutną:
Cięży już nad nim niewidzialna ręka —
Ach, jak mi smutno!

MYŚLAŁEM, ŻE TO SEN.

Myślałem, że to sen, lecz to prawda była:
Z nadziemskich jasnych sfer do mnie tu zstąpiła;
Przyniosła dziwny blask w swoich modrych oczach,
Przyniosła kwiatów woń na złotych warkoczach.
Podała rączką swą — szliśmy z sobą razem...
Przed nami jaśniał świat cudownym krajobrazem,
Pośród rozkosznych łąk i gajów mirtowych,
Wiecznie zielonych wzgórz i wód szafirowych
Szliśmy nie mówiąc nic — a mnie się wydało,
Żem życia mego pieśń wypowiedział całą,
Że z jej różanych ust, jak z otwartej księgi,
Czerpałem tajny skarb wiedzy i potęgi.
Wtem nagle przyszła myśl dziwna i szalona,
Żeby koniecznie dojść: skąd i kto jest ona?
I gdy zacząłem tak ważyć i badać,
Kwiaty zaczęły schnąć a liście opadać,
I nastał szary mrok... a ja w swoim biegu
Stanąłem w gęstej mgle na przepaści brzegu.
Strwożony zmianą tą, zwróciłem się do niej...
Niestety już jej dłoń nie była w mej dłoni!

Słyszałem tylko głos ginący w ciemności:
»Byłam natchnieniem twem, marą twej młodości!«
I pozostałem sam — I noc świat pokryła!
Myślałem, że to sen — lecz to prawda była...

ZA MOICH MŁODYCH LAT.

Za moich młodych lat
Piękniejszym bywał świat
Jaśniejszym wiosny dzień!
Dziś niema takiej wiosny;
Posępny i żałosny
Pokrywa ziemię cień.

Za moich młodych lat
Wonny miłości kwiat
Perłowym blaskiem lśnił...
Dziś blaski te i wonie
Napróżno sercem gonię;
Czarny je obłok skrył.

UCISZ SIĘ, SERCE!

Ucisz się, serce! swoich strat
Już nie opłakuj stroskane;
Ale wchodzący pozdrów świat
I jego jutrznie różane.

Błogosław nowym życia dniom,
Temu, co wschodzi i rośnie,
Świeżym nadziejom, świeżym snom,
Świeżej młodości i wiośnie.

Pozdrów pokoleń przyszły ród,
Ich myśli, pragnienia, cele, —
Kwiat nowych uczuć, nowych cnót
Na naszym wzrosły popiele.

Pozdrów kłos złoty nowych pól,
Nowych kochanków zachwyty,
Nowe tęsknoty, nowy ból —
I wiecznie nowe błękity.

CHOĆ PÓL I ŁĄK...

Choć pól i łąk
Odmładzasz krąg,
Roznosząc woń miłosną, —
Nie wrócisz mi
Młodości dni,
O, czarodziejko, wiosno!

Nie wskrzesisz złud,
Pojących wprzód
Zachwytem serce moje:
Nie dla mnie już
Rumieńce róż
I świeżych uczuć zdroje!

Więc z czary twej
Dla innych lej
Rozkoszy słodkie miody;
Niech z twoich szat
Rwie cudny kwiat
Kochanków zastęp młody.

Mnie tylko daj
Szumiący gaj
Nad moją głową senną...
I otocz mnie
W głębokim śnie
Miłością dusz promienną.

GDYBYM BYŁ MŁODSZY...

Gdybym był młodszy, dziewczyno,
Gdybym był młodszy!
Piłbym, ach, wtenczas, nie wino,
Leez spojrzeń twoich najsłodszy
Nektar, dziewczyno!

Tybyś mnie może kochała,
Jasny aniele...
Na tę myśl pierś mi zadrżała,
Bo widzę szczęścia zawiele,
Gdybyś kochała!

Gwiazd-bym nie szukał na niebie,
Ani miesiąca;
Ale-bym patrzał na ciebie,
Boś więcej promieniejąca
Od gwiazd na niebie!

Wzgardziłbym słońca jasnością.
I wiosny tchnieniem,

A żyłbym twoją miłością;
Boś ty jest mojem natchnieniem
I słońc jasnością.

Ale już jestem za stary,
Bym mógł, dzieweczko,
Żądać serca ofiary;
Więc bawię tylko piosneczką,
Bom już za stary!

Uciekam od ciebie zdala,
Motylu złoty!
Bo duma mi nie pozwala
Cierpieć: więc, pełen tęsknoty,
Uciekam zdala.

Śmieję się i piję wino
Mieszane z łzami,
I patrzę, piękna dziewczyno,
W twą przeszłość pokrytą mgłami,
I piję wino...

SZCZĘŚLIWA MŁODOŚĆ!

Szczęśliwa młodość!... nawet smutki
Zaprawne ma rozkoszą,
Dzień szczęścia długi.. żalu — krótki;
Łzy ulgę jej przynoszą.

Szczęśliwa młodość!... swe boleści
W słowiczym odda śpiewie,
I echem własnych skarg się pieści,
I o swem szczęściu nie wie!

W CIEMNOŚCI GROBU.

Ciebie już, w ciemność spowitą i ciszę,
Sen nieprzespany łagodnie kołysze,
Na grozę śmierci oczy ci zasłania
Wiecznymi blaski rajskiego świtania,
I żadnych w sobie udręczeń nie mieści,
I żadnej z życia minionych boleści.

Zato ta cała noc grobu straszliwa
Mnie bezsennego swym mrokiem pokrywa;
Przez niedomknięte wciskając się oczy,
Widomą grozą serce me otoczy.

Zato mnie śmierci milczenie powleka,
Jak zbudzonego w mogile człowieka,
Co z przerażeniem w tej podziemnej ciszy
Zamierający własny krzyk swój słyszy
I czuje rozpacz, co nim jeszcze miota, —
I całą gorycz zgonu i żywota.

DAŁAM CI MOC.

Dałam ci moc nad sercem ludzi
Moc, której próżno przeczą,
Gdyż ona łzy i zachwyt budzi,
Wstrząsając piersią człowieczą.

Piękności czar — ten nie przeminie,
On wieczną jest potrzebą;
I ludzki duch wciąż po nim płynie,
W błękitne patrząc niebo.

Piękności czar — ten zawsze będzie,
Nad światem dzierżyć władzę,
I swoją woń rozsiewa wszędzie
Kwiat każdy, co zasadzę.

Niechaj więc chłód i cisza głucha
Wśród świata cię nie ziębi:
Najlepszy siew twojego ducha
W serc cichej wejdzie głębi.

Tych śpiewnych brzmień, co ja poruszę,
Niepamięć nie pogrzebie;
Lecz, choćbyś dał swą całą duszę,
Nie żądaj nic dla siebie.

Nie żądaj nic od biednej rzeszy,
Zmęczonej życia znojem:
Ty rzucaj blask, co ją pocieszy,
I sercem nakarm swojem.

Idź sobie w grób nieznany światu,
Bez żądzy sławy próżnej,
Bez wieńców róż, bez mirtów kwiatu,
Bez bratnich łez jałmużny.

Ziszczenia snów, owoców trudu
Nie pragnij tu oglądać;
Dałam ci moc nad sercem ludu —
Nie możesz więcej żądać!

POD STOPY KRZYŻA.

Dużo cierpiałem... lecz koniec się zbliża,
Z uspokojeniem po przebytej męce
Pójdę, o Chryste, do stóp Twego krzyża,
Wyciągnąć znowu z utęsknieniem ręce
I witać ciszę zachodzącej zorzy,
Która mnie w prochu u stóp Twych położy!

Nie pomnę modlitw, com niegdyś ze skruchą
Przy boku matki powtarzał niewinny:
Te utonęły w fali życia głucho,
I odkąd w gruzy padł mój raj dziecinny,
Odkąd mi zbrakło ojczyzny i domu —
Nie otworzyłem mej duszy nikomu!

Nawet przed Tobą, nie mogłem o Panie.
Wydobyć płaczu z mej piersi ściśniętej;
Bo wzrok mój padał w bezdenne otchłanie,
A Tyś mi zniknął na krzyżu rozpięty,
Z pośród pokoleń rozrzuconych kości,
Za ciemną chmurą krwi, łez i nicości.

Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnie, nie widziałem kary,
Oprócz boleści i nędzy żywota,
Nic nie znalazłem — i zbrakło mi wiary.
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdroszcząc ludziom, co na grobach płaczą.

Widziałem trwogę i niemoc konania
Widziałem duchów hańbę i upadek;
Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania —
I, próżnych męczeństw przerażony świadek,
Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje,
Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję.

Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
Które na stosach palą się i świecą
Myślałem bowiem, że biegnąc w płomienie,
Wiedzą przynajmniej, dlaczego tam lecą,
I że przyjmując każdy ból i ranę,
W piersiach anielstwo noszą nieskalane.

Lecz gdym obaczył, skąd te wszystkie czyny
Swój tajemniczy początek wywodzą,
Skąd wyrastają ściekłe krwią wawrzyny,
Gdzie upadają ci, co w niebo godzą,
I gdy wnikając w serc zranionych ciemność,
Za każdym bólem znalazłem nikczemność —

Natenczas miłość stała się podobną
Do nienawiści smutnej i posępnej:
I przeklinałem tę rzeszę żałobną
I pogardzałem niemi — sam występny...
I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
Żem nie mógł kochać jak dawniej, za młodu.

Tak więc w mej duszy zburzonym kościele
Została straszna pustka i samotność.
Sam jako nędzarz zostałem w popiele
I własną badać zacząłem przewrotność,
I wszystko w sobie znalazłem to samo,
Co mi się zdało być u drugich plamą.

Wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche,
Co kłamią tylko pozór wyższej cnoty,
Olbrzymią nicość i olbrzymią pychę
Znalazłem na dnie swej własnej istoty;
I tak swe serce rozpoznawszy chore,
Straciłem w sobie ostatnią podporę.

Lecz ta upadku właśnie ostateczność,
Co mnie w bezdennej pogrążyła nocy,
Dała mi poznać wszechwładną konieczność
Wyższej, a razem nieskończonej mocy;
I moja rozpacz szalona i trwoga
Świadczyła jeszcze o potędze Boga.

Na mojej piersi spoczywał schowany
Maleńki krzyżyk ze słoniowej kości:
Świadek młodzieńczej wiary nieskalanej,
Dar macierzyńskiej, najczystszej miłości,
Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego, boskiego męczeństwa.

Kiedy go teraz na piersi zbolałej
Po latach tylu znalazłem, niewierny,
Tak mi się wydał znowu jasny, biały,
Taki potężny i tak miłosierny,
Że znów tęsknotą zadrżało mi łono
Za tą postacią tyle uwielbioną!

I powitałem światło wiecznie nowe
Z tych jasnych ramion krzyża tryskające,
I na skrwawione stopy Chrystusowe
Tak samo lałem moje łzy gorące,
Jak wówczas, kiedym poił serce młode,
Patrząc na mistrza nadziemską pogodę.

I znów słyszałem te boskie wyrazy:
»Chodźcie tu do mnie wy, którzy cierpicie,
»Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy,
»We mnie jest spokój i we mnie jest życie,
»Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie:
»Wszystko przemija — prawda nie przeminie«!

Więc posłuchałem słodkiego wezwania:
I oto idę z mem sercem schorzałem,
I pewny jestem Twego zmiłowania,
Bom wiele błądził, lecz wiele kochałem,
I drogi życia przeszedłem ciernistę...
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz, Chryste!

IV.

KAMIEŃ.

Ja tylko jestem kamieniem,
I jako niemowlę tu
Objęty matki ramieniem,
Cichego używam snu.

Ledwie świt ducha półsenny
Mnie z łona martwości zwie,
I w mojej piersi kamiennej
Poczuciem istnienia tchnie.

Jeszczem związany łańcuchem
W szeregu bezwiednych brył
Z ogólnym natury duchem,
Z kolebką bezwiednych sił.

Jednak przeczuwam powoli,
Że zacznie pierś moja bić...
I marzę o ludzkiej doli,
Chcę kochać, cierpieć i żyć.

I wierzę, że ten, co kruszy
Dziś moją powłokę, grom
Otworzy dla mojej duszy
Wspanialszy cielesny dom.

I witam z dreszczem rozkoszy
Każdy zadany mi gwałt,
W niszczeniu, co mnie rozproszy,
Zgadując przyszłości kształt.

Tam! gdzie się boleść zaczyna,
Bezwiednie martwości kres,
A nad nią boska kraina,
Gdzie miłość wykwita z łez.

Przez wszystkie śmierci ogniwa
Postępu ciągnie się nić —
Ból samowiedzę zdobywa:
Chcę cierpieć, kochać i żyć!

ASCETA.

I.

W Tobie, o, Panie, zamknąłem życie;
Ku Tobie dusza jawnie i skrycie
Płynie drogami wszystkiemi...
I wciąż katuję wzgardzone ciało,
Chcąc Twoją tylko oddychać chwałą
A zostać obcym tej ziemi.

Tyle lat klęczę tutaj w pokorze
I wzrok zatapiam w jasności morze,
Za którą mam Cię pożądać...
Nie dość, że Ciebie myśl ma odgadnie:
Ja Cię przeniknąć pragnę dokładnie,
Oczyma ducha oglądać!

Więc zapatrzony w wieczyste blaski,
Spragniony widzeń natchnionych łaski,
Krwawemi świecę stygmaty
I, wylatując za ziemską glinę,
W nieskończoności pożądań ginę,
W Twoje wdzierając się światy.

Lecz próżno miłość świętą rozpalam,
Próżno się z więzów ciała wyzwalam:
Nie mogę jeszcze, nie mogę
Przedrzeć ostatnich mroków zasłony
I przez serafów jasne legiony
Ostatnią otworzyć drogę...

Jeszcze królestwo Twoje nie spadło
Na duszy mojej smutne zwierciadło,
By się tam zawrzeć jak w grobie;
I nie leżałem w prochu zdrętwiały
Przed majestatem straszliwej chwały,
Widząc Cię w ogniach przy sobie.

Czasami tylko bólem targany,
Duch mój porzuca cielska łachmany,
W nowe przedzierzga się życie;
I do twych niebios biegnie promienny
W apoteozie rozlać się sennej —
A ja umieram w zachwycie...

I już się oczom moim odsłania
Przez rozstąpionych grobów błyskania
Ta Jeruzalem bez zmazy,
Co na zburzonym świata porządku
Staje bez końca i bez początku —
Przybytkiem wiecznej ekstazy.

Lecz ledwie pierwszym świtem ogrzany
Zrywam objawień kwiat pożądany,
Uduchowione upajam zmysły —
Gdy nagle z natchnień moich zenitu
Do dawnej wracam martwości bytu...
I rajskie widzenia prysły.

II.

Panie! z otwartym duszy kielichem,
W unicestwieniu pogrążon cichem,
Nowymi ogniami płonę.
Niema już dla mnie czasu, przestrzeni,
Tylko się zorza wiecznie promieni:
Nie jestem — lecz w Tobie tonę,

Wznoszę się, lecę... Głębia bez końca,
A chociaż niema ziemskiego słońca,
Oczy znieść blasków nie w stanie:
To nie są gwiazdy, to nie są chmury,
Ale skrzydlate anielskie chóry,
Co wiodą w świateł otchłanie.

O! to krzyż wielki tę jasność miota,
A u stóp jego źródło żywota
Rozlewa wieczne strumienie;

Tłumy wybranych, miliony całe,
Niby błyszczące gołębie białe,
Piją zeń swoje zbawienie.

Wszyscy swe oczy wznoszą w tę stronę,
Gdzie zakrwawioną cierniów koronę
Trzymają złote cheruby;
A pod nią wyższe orszaki świętych,
Na nieskończonej tęczy rozpiętych,
Jako gwiaździste tkwią szruby.

Jedni z otwartą księgą wyroków
Przestrzenie mierzą okiem proroków
A chwałę ustami niosą;
Drudzy weselne śpiewają psalmy,
Strojni w zielone męczeńskie palmy,
I krwawą myją się rosą.

Błękit się coraz rozszerza dalej...
W tych sfer duchowych ruchomej fali
Dziewic przeczystych rój płynie —
Każda z srebrzystym na głowie wieńcem
W gotowych szatach przed oblubieńcem
Stanąć w tryumfu godzinie.

Ach! i ta płynie... jasna, natchniona,
Z takiem spojrzeniem niebios jak ona,

Co stała drżąca i blada,
Gdym usta topił w złotym warkoczu...
. . . .
Gdzie jesteś, Panie? tracę Cię z oczu —
I niebo twoje przepada!

III.

Cóż mi ta ziemia? jej się wyparłem.
I cóż mi ludzie? dla nich umarłem,
I nic mnie z nimi nie łączy.
Ziemskie pociechy, ziemskie boleści —
To tyle bluźnierstw odmiennej treści,
Których jad w serce się sączy.

Niechaj krwią dymi czara ohydna,
Niech się urąga tłuszcza bezwstydna,
Tryumfy świecąc zwodnicze!
W kłamstwie upadną kłamstwa czciciele,
Co na jałowym wieków popiele
Nietrwałe łowią zdobycze.

Niech obłąkane dumą anioły,
Co chcą zapłodnić martwe popioły,
Ziemskiej oddani ojczyźnie,

Dotknięci słusznym niebios wyrokiem,
Nie dojrzą Boga stęsknionem okiem,
W dziejowej niknąc krwawiźnie...

Ponad tą lichą robactwa wrzawą,
Co się dobija o życia prawo
W fałszu chwilowych zapędów,
Niezmienna prawda, do której dążę,
Jedna warunki życia rozwiąże
I skruszy kajdany błędów.

Tam! za tą wstrętną plamą nierządu
Bić już zaczyna godzina sądu
Dla ciemnych Ludzkości marzeń;
I duchy, trwogą przeczuć miotane,
Patrzą się, dzikim bólem złamane,
W niebiosa pełne przerażeń.

Czas się wiekowej wypełnia zgrozy,
I na gwiaździste wstąpił już wozy
Żelaznem berłem rządzący.
Ten, co go nie zna nawet z imienia
Świat, choć pokazał twarz swą z płomienia
A w ręku swojem sierp lśniący —

Idzie na żniwo; przed nim anioły
Równają ziemskie góry i doły

Pługami ostatnich zniszczeń,
I, przewracając glebę cmentarną,
Zbierają ważne i czyste ziarno
W omłocie boskich oczyszczeń.

Duchy brylantem zasług bogate
Wdziewają świetną zwycięstwa szatę,
W nadziemskiej stają ozdobie;
Nawet skalane krwią ludzką zbójce,
Przeszedłszy męki Twojej ogrójce,
Wznoszą się czyste ku Tobie.

Jacyż to biedni i odtrąceni
Idą w czerwone morze płomieni,
Okryci hańby swej piętnem?
Ach! to ostatni z mojego ludu,
Co próżno w jasnych zmartwychwstań cudu
Oczekiwaniu stał smętnem.

Bezpłodne męki dostał w udziale,
Choć zawsze świadczył o Twojej chwale —
I dziś go czeka zagłada!
Takąż robotnik Twój bierze płacę?
. . . .
Gdzie jesteś, Panie? z oczów Cię tracę —
I niebo Twoje przepada!

XIX-mu WIEKOWI.

Wieku bez jutra, wieku bez przyszłości,
Co nad przepaścią stanąłeś ponury!
Nauczycielu zgrozy i nicości,
Coś wziął ludzkiego ducha na tortury!
Wieku zwątpienia, o wieku niewiary! —
Jakże ty strasznym jesteś dla cierpiących!
Sfinksową twarzą patrzysz na ofiary,
Szyderstwem żegnasz w męczarniach ginących —
Śląc im do grobu te słowa najkrwawsze:
»Wszystko skończone, giniecie na zawsze!«

Na co się przyda, mistrzu, twa nauka,
Na co się przyda dla błądzącej rzeszy?
Gdzie masz pociechę, której ona szuka?
Gdzież masz tę miłość, która ją rozgrzeszy? —
Dałeś jej ziemi obszary jałowe
I dożywotnie dałeś jej dziedzictwo;
Ale zabrałeś najlepszą połowę:
Idealnego świata uczestnictwo!

Choć jasne źródła stoją jej otworem,
Ona z nich przecież rozkoszy nie czerpie,
I woła, sercem upadając chorem:
»Poco ja żyję, umieram i cierpię?«

NA POBOJOWISKU.

Chłód go nocny powrócił do życia —
I otworzył swe oczy powoli...
Wkoło ciemność... słychać jakieś wycia,
Jakieś jęki... coś go w piersiach boli...
Z bólem pamięć powraca leniwa:
Rozpoznaje z dreszczem niepokoju,
Że na ziemi wilgotnej spoczywa
Gdzie upadł z boju.

Rozpoznaje przez mgieł kłęby sine
Ciemne kształty, rzucone w nieładzie,
Co zasłały dokoła równinę,
Pojedynczo leżąc lub w gromadzie;
Rozpoznaje stosy nieforemne,
Z których czasem straszny jęk wybucha...
I ze zgrozą patrzy w niebo ciemne —
Patrzy i słucha.

Coś się ruszy, coś tam zaszeleści,
To znów słychać rżenie lub chrapanie,

Głosy dzikiej, nieludzkiej boleści;
Coś upadnie, coś ze ziemi wstanie, —
A szmer każdy w nocnej ciszy rośnie,
Olbrzymieje trwogą, wstrętem, bolem,
I w powietrzu jęczy wciąż żałośnie
Nad krwawem polem.

Czasem ptaki załopoczą skrzydłem
I na ziemię w pobliżu przypadną,
Żerowaniem zajęte obrzydłem...
On się wstrząsa przed wizyą szkaradną;
Choć odważny, a przecież się lęka,
Za niedługo może już nie zdoła
Spędzić ptactwo nieruchoma ręka
Z martwego czoła

Mgła mu oczy powoli zasłania...
On sam nie wie: czy to rosa ścieka
Po źrenicach? czy też mrok konania
W noc go cichą na zawsze obleka? —
Lecz, że życie boleścią się mierzy,
A w swych piersiach czuje bólu żmiję,
Mimo cieniu grobowego wierzy,
Że jeszcze żyje!

Żal go dławi, pragnienie go piecze,
Dreszcz śmiertelny członki mu przejmuje,

Krew uchodzi — z nią życie uciecze...
Lecz on jeszcze słyszy, myśli, czuje...
Jeszcze wzrokiem powłóczy po ziemi,
Po postaciach leżących w ciemności,
Jeszcze szemrze usty spieczonemi:
»Biedna ludzkości!«

Jeszcze myślą błądzi wśród ciał stosów,
Których losy niedługo podzieli,
I zagadka smutnych ludzkich losów
Tu na krwawej trwoży go pościeli.
»Biedna Ludzkość«! — powtarza i wzdycha —
»Co ją pędzi na straszne rozdroża?
»Co ją gwałtem z rąk kwiecistych spycha
Pod ostrze noża?

»Sława?... miłość dla ziemi rodzinnej?...
Parcie ducha, któremu zaciasno?
Czy przeczucie jakiej lepszej, innej
Doli ludów, krwią kupionej własną?
Czy nienawiść, szał, lub przesąd lichy,
Zaszczepiony starannie za młodu?
Czy pojęcie wielkości i pychy
Swego narodu?

»Czy też zwykła bierność, brak oporu,
Ślepy nałóg, ślepe posłuszeństwo?

Jakieś widmo tęczowe honoru,
Co zasłania dzikie okrucieństwo?
Może wszystko, może wszystko razem,
Pchało naprzód te zastępy zbrojne,
Co, zmiecione ogniem i żelazem,
Leżą spokojne.

»Biedna Ludzkość! — Wieluż z nich widziało,
Jaką przyszłość toruje i komu?
Czy śmierć będzie ich klątwą, czy chwałą?
Kto skorzysta z klęski lub pogromu?
Czy nad nocą ich własnej zagłady
Nowe ducha zabłyśnie świtanie?
Czy się raczej nie zalęgną gady
W otwartej ranie?

»Ten, kto może ginąć z pełną wiarą,
Że umiera za ludu swobody,
Że krwi swojej serdeczną ofiarą
Zbawi w więzach jęczące narody,
Że ojczyźnie cierpiącej otworzy
Nowe drogi szczęścia i spokoju —
Ten usypia jako sługa boży
Po krwawym znoju.

»Lecz kto ginie jak niewolnik marny,
Zawleczony za włosy przemocą

I rzucony pod topór ofiarny,
Nic nie wiedząc: dlaczego i poco?
Kto upada bez pociechy czystej,
Że szedł bronić tego, comu drogiem...
Ten ze skargą na sąd wiekuisty
Stanie przed Bogiem.

»I najwyższy nie dozwoli Sędzia,
Aby odtąd już na ojców grobie
Nasze dzieci, jak ślepe narzędzia,
Uzbrajano na śmierć przeciw sobie;
Aby miały z myślą rozpaczliwą
Rzucać znowu życia blask różowy,
Że zwiększają przyszłe nieszczęść żniwo,
W proch kładąc głowy«.

Tak się żali swego serca raną
Przed tem niebem pochmurnem i głuchem...
I swą ziemię wspomina kochaną,
Gdzie nie wróci, chyba tylko duchem;
I wspomina matkę, co się dowie,
Że nie ujrzy więcej syna swego...
»Biedna matka! Święci aniołowie
Niechaj ją strzegą!«.

Dom rodzinny staje mu przed okiem,
Taki jasny, wdzięczny, uśmiechnięty,

I tak ludny złotych mar natłokiem,
I tak pełen najmilszej ponęty...
Szczęście, miłość, żony postać słodka,
Przesłonięta smutkiem i tęsknotą,
I ta mała w kołysce szczebiotka,
Co już sierotą!

Znowu oczy zaszły łzą, czy rosą;
Gdy w tem nagle zdala blask spostrzega...
Jacyś ludzie — w ręku światło niosą:
Pewno pomoc dla rannych przybiega.
»To ratunek — szepcze — to ratunek!
»Może jeszcze będę ocalony,
»I po słodki wrócę pocałunek
»Matki i żony!«

Z utęsknieniem wita światło owe
I chce wołać i wzywać pomocy;
Lecz dokoła słychać jęki nowe, —
I głos jego ginie w ciemnej nocy.
Światło miga tu ówdzie wśród zielska,
A gdzie przejdzie, tam ucichną jęki:
Pewnie ręka litości anielska
Łagodzi męki.

Aż przed sobą przy świetle latarni
Ujrzy twarze widziadła gorączki...

Niby ludzie — lecz nadto poczwarni,
Chcą mu z palców pościągać obrączki...
Widzi obok jak dłoń świętokradzka
Z ciał zabitych smutne łupy zrywa,
I jak rannych dobija znienacka —
Grabieża chciwa!

Ten ohydny widok śmierci dreszczem
Ścina piersi rannego żołnierza;
Wzrok martwieje przed widmem złowieszczem,
Głowa martwo o ziemię uderza;
Tylko ciało kurczowo się wzdryga
Na straszniejsze nad grób okropności...
I westchnienie na ustach zastyga:
»Biedna Ludzkości!«

W ZIMOWEJ NOCY.

Idzie z piosenką na ustach
Przez śniegu zaspy zimowe —
I nie wie, gdzie mu wypadnie
Na nocleg położyć głowę.

Choć noc już ziemię pokrywa,
A wszędzie pustka wokoło —
On w swej samotnej wędrówce
Bez trwogi idzie wesoło.

Patrzy na pola zmrożone,
Na cieniem pokryte drzewa, —
I nie przerywa piosneczek,
Lecz dalej tak sobie śpiewa:

»Tyś mi nie straszna, o, nocy!
Chociażeś mroki rozsiała
Tak gęste, jakbyś na zawsze
Nad światem panować miała;

»Bo wiem, że musisz niedługo
Przed słońcem uciec w otchłanie,—
A dla tych, co się obudzą,
Zabłyśnie nowe świtanie.

»Ty mi nie zmrozisz, o, zimo,
Serdecznych moich nadziei!
Choć ziemię pokrywasz martwą
Całunem śnieżnej zawiei.

»Pomimo groźnej twej władzy,
Nie mogę zwątpić, że z wiosną,
Jeżeli nie mnie, to innym
Znów świeże kwiaty wyrosną.

»Ty mnie nie zwiedziesz tak łatwo
Pozornym chłodem — o, miła! —
Choć mnie odpychasz za życia...
Choćbyś mnie wzgardą zabiła;

»Bo wiem, że prędzej, czy później,
Chwile niechęci przeminą;
Po śmierci kochać mnie będziesz,
Moja ty piękna dziewczyno!

»Wy także, ludzie, przedemną
Próżno uczucia kryjecie:

Nie dam się złudzić pozorom,
Że serc zabrakło na świecie

»Jak tylko tchnienia cieplejsze!
Czar dawnych uniesień wskrzeszą,
Po śmierci kochać mnie będziesz
Ty, chłodna, milcząca rzeszo!«

SONET.

Zejdź, jasna jutrznio! rozlej światła strumień
Po ziemi życia nowego spragnionej!
Złotym promieniem do dna ludzkich sumień
Sięgnij i blask im nadaj nieskażony!

Rozedrzej mroczne przyszłości zasłony
I wstydem czoła wątpiących zarumień,
I oczom chciwych zachwytów i zdumień
Ukaż odrodzeń szereg nieskończony!

Zejdź, jasna jutrznio! Świat przeczuciem tknięty,
Z lochów, gdzie nędza z zbrodnią mieszka skrycie,
Z gmachów, gdzie orgia dopija swe męty,

Wygląda ciebie w troskach, czy przesycie,
I woła, dziwną tęsknotą przejęty,
O świeże, lepsze szlachetniejsze życie.

LUDZKOŚCI!

Ludzkości! ty Atreusza rodzie,
Wśród ciągłych walk idziesz naprzód, niespokojna;
I własną pierś ranisz w tym pochodzie,
Głucha na łzy, nienawiścią zbrojna.

Przebyty ból płacisz nową męką
I, chcąc się mścić — mścisz się wiecznie, lecz na sobie;
Bo każdy cios, twą zadany ręką,
Spycha cię w dół, we krwi i żałobie.

Tyś sama jest katem i ofiarą,
I padasz w proch, kiedy kroczyć chcesz zwycięsko,
I tryumf twój jest dla ciebie karą,
I zwycięstw szał jest dla ciebie klęską!

Lecz mimo klątw, bólu i zwątpienia,
Przeczuwasz cel, ku któremu dążysz zwolna;
On czoło twe zawsze opromienia,
Choć ująć go jeszcześ nie jest zdolna.

MIŁOŚĆ JAK SŁOŃCE.

Miłość jak słońce: ogrzewa świat cały
I swoim blaskiem ożywia różanym;
W głębiach przepaści, w rozpadlinach skały
Dozwala kwiatom rozkwitnąć wiośnianym
I wyprowadza z martwych głazów łona
Coraz to nowe na przyszłość nasiona.

Miłość jak słońce: barwy uroczemi
Wszystko dokoła cudownie powleka;
Żywe piękności wydobywa z ziemi,
Z serca natury i z serca człowieka,
I szary, mglisty widnokrąg istnienia
W przędzę z purpury i złota zamienia.

Miłość jak słońce: wywołuje burze,
Które grom niosą w ciemnościach spowity,
I tęczę pieśni wiesza na łez chmurze,
Gdy rozpłakana wzlatuje w błękity,
I znów z obłoków wyziera pogodnie,
Gdy burza we łzach zgasi swe pochodnie,

Miłość jak słońce: choć zajdzie w pomroce,
Jeszcze z blaskami srebrnego miesiąca
Powraca smutne rozpromieniać noce
I przez ciemności przedziera się drżąca,
Pełna tęsknoty cichej i żałoby,
By wieńczyć śpiące ruiny i groby.

DO MŁODYCH.

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg!
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia,
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozprószycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzecie z błękitów, —
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach:
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele, —
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść:

Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży —
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi:
I wasze gwiazdy, o, zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

NIE MÓW.

Nie mów — chociażbyś miał ginąć z pragnienia, —
Że wszystkie źródła wyschły już bijące:
Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów — chociażbyś umierał z tęsknoty, —
Że niema czystej miłości na ziemi:
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,
Za ognikami zdążając błędnemi.

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu, marą jest zwodniczą:
Zdrój czystych uczuć będzie innym szumiał
I inne serca poił swą słodyczą.

TYM, KTÓRZY SMUTNI.

Tym, którzy smutni, — tym, którzy, zgnębieni,
W milczeniu tylko i cierpią i giną —
Tym dla serc trzeba jaśniejszych promieni
Nad idealną świecących krainą.

Im zimne słowa mędrców nie wystarczą
I praw koniecznych bezwzględna powaga
Nie będzie dla nich osłoną ni tarczą,
Gdy serce gwałtem szczęścia się domaga.

Trzeba im pociech, których nie da życie,
Trzeba anielskich uśmiechów w błękicie,
Trzeba litośnej nad światem opieki,
Trzeba miłości wiecznej, choć dalekiej.

DWIE FAZY.

I.

Kiedy myśl wielka nagle zajaśnieje.
I porwie z sobą mętną ludzi falę,
Burzliwym prądem niosąc ją przez dzieje
Ku szczęściu, prawdzie, zwycięstwu i chwale —

Wtenczas pierś każda ludzka olbrzymieje
I ponad trwogi powszednie i żale
Każdy, jak Tytan wyrasta zuchwale,
Po nieśmiertelną sięgając nadzieję.

Wtedy z owego tajnego ogniska
Na świat ożywcze spływają promienie;
Życie, co siłą i młodością tryska,

Zyskuje na swej wartości i cenie;
A i śmierć sama pięknością połyska
Jak godne męskiej pracy zakończenie.

II.

Lecz gdy zagaśnie blask promiennej zorzy,
Gdy myśl ożywcza sercami nie włada, —
Zaraz duch ludzki waha się i trwoży
I nikczemnieje znowu i upada.

Wówczas strach tylko pędzi ludzkie stada,
W których zepsucie i rozpacz się mnoży;
I rzesza ludów, przerażeniem blada,
Błądzi bez celu śród ciemnych rozdroży.

Wówczas świat dziwnie zmieniony i stary,
Samą goryczą swoim dzieciom płaci;
Życie bez pragnień, bez natchnień, bez wiary,

Cały swój urok, całą jasność traci,
A śmierć w ohydnej zjawia się postaci,
Jak straszne widmo nicości i kary.

UŚMIECH.

Na wstępie życia, przez dobre anioły
Zesłany w darze niewinnemu sercu,
Na ustach uśmiech zjawia się wesoły;
Igra jak motyl na łąki kobiercu.

Tak łatwo leci, tak swobodnie wschodzi,
Nie potrzebując jeszcze nic dla siebie;
Sama go jasność chwil porannych rodzi,
I świeżość wiosny, rozlana po niebie.

Później ten uśmiech głębsze bierze piętno:
Za marą szczęścia i piękności leci,
Melodyą uczuć dźwięczy już namiętną,
Ogniem zachwytów i pożądań świeci.

Utracił spokój niewinności błogi —
I falą wzruszeń gwałtownych wybucha,
I na rozstajne wylatuje drogi
Wśród krwi podszeptów i porywów ducha

A gdy się w ciemnych przepaściach zabłąka,
Przejdzie zawodów kolej i zwątpienia, —
Wtedy, ach, dziwną goryczą przesiąka
I na szyderczy uśmiech się zamienia.

I twarz złośliwym wykrzywia wyrazem,
Którym chce dusza urągać zatruta...
I brzmi boleśnie i złowrogo razem,
Jak rozstrojonej harfy dzika nuta.

Lecz i ten uśmiech, co swe rany smaga,
I świat wyszydza i światu się skarży,
Rozwieje życia surowa powaga —
Nie da mu powstać na surowej twarzy.

Wtedy znów ponad smutkami wszystkiemi
Litośny anioł, który nas osłania,
Przysyła uśmiech ostatni na ziemi:
Uśmiech dobroci, uśmiech pobłażania.

W ALBUMIE.

Nie pytaj próżno o przyszłe losy, —
Nie pytaj!
Lecz otwórz ducha pogodne oczy
Na wszystko piękne, co cię otoczy;
W promieniach słońca i w kroplach rosy
Zakwitaj!

Nie zdzieraj szczęścia urojeń wiotkich, —
Nie zdzieraj!
Ani nie badaj nazbyt oględnie:
Czy ten kwiat wonny w ręku ci zwiędnie?
Lecz póki pora, z kielichów słodkich
Miód zbieraj!

Przechowuj w sercu szlachetną marę, —
Przechowuj!

I żyj miłością swego narodu...
A w chwilach smutku, w chwilach zawodu,
O idealną oprzyj się wiarę,
Jak powój!

WIECZNIE TO SAMO.

Wiecznie ta sama płynie zjawisk fala,
I wciąż obrazy odnawia te same;
Wiecznie jutrzenka swe ognie zapala
Z mgieł purpurowych tworząc słońcu bramę;

Wiecznie te same czary wiosna niesie,
Blaski i wonie, kwiaty i zieloność,
Te same chóry śpiewnych ptasząt w lesie,
Tę samą tęsknych pragnień nieskończoność;

Tą samą serca poją się rozkoszą
I wiecznie snują nić tej samej przędzy
Wiecznie te same skargi się podnoszą
Z ciemnej otchłani rozpaczy i nędzy;

A jednak jasność jutrzenki, wdzięk wiosny,
Ziemia, i morze, i niebios sklepienie.

Młodość, tęsknota, i zachwyt miłosny,
Rozkosz i boleść, walka i zwątpienie,
I każda śpiewna kochanków rozmowa —
Wiecznie jest nowa:

KRĄG PRZEMIAN.

Dnia słoneczność, wiosny tchnienie,
Morza piany i błękity —
W jedno zlały się widzenie:
W cudną postać Afrodyty!

Wymarzona piękność ciała,
Nawpół boska, wpół kobieca,
Żądzom nowy polot dała:
Nieśmiertelną miłość wznieca,

A miłosnych pragnień siła,
Ku zwycięskiej dążąc chwale,
W biegu swoim potrąciła
Różnorodnych uczuć fale.

Każda fala, kręgi duże
Zataczając, rośnie... wzbiera...
I kochanków mirt i róże
W laur zamienia bohatera.

Sen rozkoszy, sen miłosny,
Choć go jedne serca prześnią
Wraca na świat wdziękiem wiosny, —
Blaskiem, wonią, barwą, pieśnią!

Zawiedzionych serc tęsknota,
Piękność, która z ciałem ginie,
Wschodzi w nowych dniach żywota:
W poświęcenia wielkim czynie.

To, co było czynem wczora,
Dziś jest pieśnią lub legendą:
A gdy nowa błyśnie pora,
Pieśni w czyn się zmieniać będą!

CHÓR.

STROFA.

Jakże jest straszną cierpienia potęga!
Chwilowo nawet moc Tytanów łamie
I nieugiętą ich wolę rozprzęga
Silniejsze złych losów ramię.
Lecz tylko rodzaj znikomy
Traci na zawsze swą pozorną dzielność,
Przetrwa zaś wszystkie przeznaczenia gromy,
Kto czuje swą nieśmiertelność;
Choć się pod ciosem czasami zachwieje,
Własnym natchnieniom choć złorzeczy w szale—
Nieporuszony przez wieków koleje
Stać będzie w posępnej chwale.

ANTISTROFA.

Mizerną rozkosz otrzymuje w darze
Wszystko, co pełza i w cieniu się kryje:
Wielkość z cierpieniem zawsze chodzi w parze,
W najwyższe szczyty grom bije.

Kto obrał niezwykłe drogi,
Musi się zbroić na ból i męczarnie;
Wyniosłej głowy nie oszczędzą bogi:
Nie wolno wznieść się bezkarnie!
Lecz kara w tryumf zamienia się potem,
Do dawnych blasków przyrzucając świeże.
Prawdziwa wielkość pod nieszczęścia młotem
Kształt doskonały przybierze!

ZMIERZCH MELODYI.

Śpiewnej melodyi słodycze,
Wpółsenne pienia słowicze
Serc silniej nie wzruszą już:
Na gruzach wiary dziecięcej
Duch ludzki pożąda więcej —
Wśród walk i burz.

Nie dość mu tkliwych pobudek,
Róż zwiędłych i niezabudek,
I szmeru srebrzystych strug...
Lecz żąda, by w męskiej nucie
Dźwięczało głębsze odczucie
Duchowych dróg.

Trzeba mu w pieśni odbicia
Tej walki o prawdę życia,
Co z niebem rozpoczął wieść;
Prawda dlań teraz najświętsza:
Więc chce przeniknąć do wnętrza
Istnienia treść.

Te, co nęciły go wprzódy,
Bańki tęczowej ułudy
Straciły dawniejszy czar:
W chciwej za światłem pogoni
Od błędnych ogników stroni
I nocnych mar.

Myśl niespokojna nań czyha
Na dnie rozkoszy kielicha
I z kwiatów odrywa wzrok:
Nawet miłosne marzenia
Bezmiarem swoim ocienia
Zaziemski mrok.

Wszędzie go ściga myśl: poco
Z nieznaną ściera się mocą,
Z potęgą, co wiecznie trwa?...
I czemu serce ogarnia
Nieskończoności męczarnia,
Pod którą drga?...

DAREMNE ŻALE.

Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda, idąc wstecz,
Zniknionych mar szeregu
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe —
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę!

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą!
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

ZAPOMNIJ O TEM!

STANISŁAWOWI KRZEMIŃSKIEMU.

Zapomnij o tem, żeśmy kiedyś żyli
Bezpłodnem życiem, bez szczęścia i sławy!
Zapomnij o tej próżnych pragnień chwili,
Po której w piersiach ślad pozostał krwawy.
Zapomnij o tem, że fałszu służalce
Świętości nasze obrzucili błotem,
Żeśmy padali w rozpaczliwej walce, —
Zapomnij o tem!

Lecz myśl jedynie, że ducha tęsknotą
Przedrzem się w czasów szczęśliwszych zaranie,
I że z nas każdy weźmie zbroję złotą
I w dniu zwycięstwa na wyłomie stanie;
Że miłość nasza nie zejdzie do grobu,
Lecz znów ożyje kiedyś w wielkim czynie,
I że nas szczęściem opromieni obu —
To myśl jedynie!

PRZYJŚCIE MESSYASZA.

I.

Lud czekający na swego Messyasza
Nie zwróci oczu na dziecinę małą
I do biednego nie zajrzy poddasza:
Mniema, że zbawcę, którego czekało

Tyle pokoleń, ujrzy ziemia nasza
Odrazu ziemską okrytego chwałą,
Jak na wojsk czele niewiernych rozprasza;
Mniema, że wszystko będzie przed nim drżało,

Że nawet głowy ugną się książęce,
Zdając mu władzę nad światem... więc, jeśli
Usłyszy, że się narodził w stajence

I że mędrcowie dary mu przynieśli —
Pyta ze śmiechem: »Jakto? ten syn cieśli
Ma rządy świata ująć w swoje ręce?«

II.

Nawet ci wszyscy najwierniejsi ucznie,
Którzy do końca w swym mistrzu widzieli
Zbawienie świata i światłości jutrznię,
Gdy na śmiertelnej ujrzą go pościeli

Z przebitym bokiem przez żołdaków włócznię, —
Gdy, archanielskich nie widząc mścicieli,
Widzą, jak zgraja wrogów się weseli
I jak swój tryumf święci teraz hucznie:

To i ci, z twarzą przerażeniem zbladłą,
Zwłoki w grobowe tuląc prześcieradło,
Zwątpią o prawdzie słów boskiego męża,

Trwożąc się w duchu, że wszystko przepadło...
A on tymczasem bez wojsk i oręża
Po swoim zgonie — idzie — i zwycięża.

III.

Choć krzyżowany przez odstępców roty,
W sercu ludzkości umiera na nowo,
I z szczytów swojej niebieskiej Golgoty
Na chwilę w otchłań zapada grobową, —

A świat straciwszy promień prawdy złoty,
Drogę zbawienia i żywota słowo,
Krzyk rozpaczliwy podnosi sieroty,
Patrząc na mękę pokoleń dziejową;

On spełnia dalej odkupienia dzieło,
I to, co w krwawej bezprawia powodzi
Pod znakiem jego walcząc zatonęło,

Wraz z nim w postaci doskonalszej wschodzi...
I, zanim grobu łono się zamknęło,
W sercu Ludzkości Bóg się znowu rodzi.

IV.

Kroczący skrycie w dziejowym zamęcie
Bóg spodziewaną nie nadchodzi drogą;
Blaski na niebios widne firmamencie,
Łuną pożarów okazać się mogą,

I te nadzieje, których się zawzięcie
Czepiamy sercem, mszczą się na nas srogo;
Tymczasem zbawczej idei poczęcie
Niedostrzeżonem bywa przez nikogo...

Chociaż na ziemię zstępuje jak bóstwo,
Szydzą z niej sobie małoduszne zgraje,
Widząc pozorną słabość i ubóstwo —

I musi przenieść prześladowań mnóstwo
I śmierć na krzyżu; lecz gdy zmartwychwstaje,
Podbija ludy i zdobywa kraje!...

NAD GŁĘBIAMI.

IX.

Nieśmiertelności nie poszukuj w próchnie,
Albo w czynnikach, co się wnet rozprzęgną:
Nieśmiertelnemi nie są kość i ścięgno,
Ni żądz płomyki, które śmierć zadmuchnie

Te dumne myśli, co się w głowie lęgną,
Pójdą na pastwę bladej przemian druchnie,
Jeśli za zlepek znikomy nie sięgną
I osobistej sławy oddźwięk zgłuchnie.

Wszystko, co świeci w ludzkich cacek kramie,
Co przypadkowe ułomne i liche,
Co nosi zachceń osobistych znamię,

Choć się przystraja w odrębności pychę, —
Wraz z swą skorupą w prochy się rozłamie,
Na dno przepaści opadając ciche

X.

Tylko treść, którą z całości się splata,
To, czego żaden trąd nie upośledza,
Czego nie dzieli egoizmu miedza
Od wszystkich ogniw duchowych wszechświata;

To, co chwilowy zakres swój wyprzedza
I z życiem przyszłych pokoleń się brata,
Tylko ta wspólnych źródeł samowiedza,
Co z gwiazd na gwiazdy wzlatuje skrzydlata

I wszędzie siebie znajduje świadomie:
W minionych zmierzchach, w mgle przyszłych
[stuleci,
W sercach współbraci i światów ogromie,

I w każdym życiem drgającym atomie —
Ta jedna z czasu wyplątana sieci,
Nieśmiertelnością poza grób uleci.

XVII.

Co złość zniweczy, co występek zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi.
Upadłość Ludzką z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi.

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żurawi.

Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca

I, coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

XVIII.

Tak złe jak dobre wspólną jest zdobyczą:
A ci, co czynem ewangelię głoszą,
I ci, co ziemię zbrodniami pustoszą,
Dzielą się plonem i spadek dziedziczą:

I wszyscy następstw ciężary ponoszą,
Wszyscy w dorobku ciężkim uczestniczą,
Który napawa bólem lub rozkoszą
Ludzkiego rodu duszę tajemniczą.

Ten wzajemności twardy obowiązek,
Zależność losów i wspólnictwo winy
Z pnia odwiecznego wyrosłych gałązek —

Utrwala wielki religijny związek,
Łączący członków rozpierzchłej rodziny —
W Duchu, co wszystko ożywia — jedyny!

XXI.

W coraz-to wyższe przeradza się wzory
Pył ożywiony, co w przestrzeni krąży;
Ledwie się w cieniu śmiertelnym pogrąży,
Wnet go z martwości świt rozbudzi skory.

Śmierć to ciągłego postępu chorąży;
Który na nowe świat prowadzi tory,
Wschodzącym kiełkom usuwa zapory
I z rzeszą w istot nieskończoność dąży.

Z jego opatrznej, choć surowej, łaski,
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią,
Ale młodości wciąż przebrzmiewa pieśnią

I w coraz nowe przystraja się blaski,
I coraz dalej mknąc na fali chyżej,
Po stopniach przemian posuwa się wyżej.

XXVIII.

Ci, którzy jasność żegnają zniknioną,
Gdy burza całe zniweczyła żniwo —

Nad spustoszoną rozpaczając niwą,
Myślą, że wszystko ciemności pochłoną,

Dalszych rozkwitów mnożąc siłę żywą:
Tymczasem pod tą ciemności osłoną,
Pod dobroczynną martwości pokrywą
Tysiącem kiełków drży już ziemi łono,

Ręką natury rozrzuconych skrzętną:
W spowiciu nocy, w zimowej zamieci,
Bijące wewnątrz nie ustaje tętno;

I życie w głębi walką wre namiętną,
By się wydobyć kiedy je oświeci,
Brzask nowych wiosen, lub nowych stulleci.

V.

CHÓR OCEANID.

O, nieustanny wszechżywiołów sporze,
Nieskończoności wstrząsający morze
Prądami wciąż się ścierających sił!
Olbrzymia walko, co, trwając bez końca,
Zapalasz jedne nad drugimi słońca
I w ruch wprowadzasz wszechświatowy pył! —

Tyś jest wyrazem twórczej myśli bożej,
Która przez ciebie ożyła i tworzy
I dzierży wiecznie nad światami rząd;
Ty jesteś prawem powszechnem istnienia,
Które wciąż światów powierzchnię odmienia
I toczy naprzód rwący życia prąd.

Ty wszystkie wrogie potęgi i władze
W żywej wszechświata trzymasz równowadze
I gwiazd krążących obejmujesz ster;
Ty sprzecznych dążeń i kierunków wielu
Wytwarzasz jedność działania i celu —
Harmonię wszystkich wojujących sfer,

Wszędzie, dokoła, gdzie tylko drga życie:
W bezbrzeżnych głębiach, w gwiaździstym błę-
[kicie,
Na ziemi, niebie, ciemnym łonie mórz,
W tajniach natury i w dziedzinie ducha, —
Zacięta walka ogniami wybucha,
W zniszczeniu siejąc światło nowych zórz.

Na fali wiecznie zmiennej i ruchomej
Wszystkie z nicestwa dobyte atomy
W ciągłych przewrotach o byt walczą swój:
I żywych istot rozmnożone plemię
Zdobywa sobie i wydziera ziemię
I bogi wiodą na błękitach bój!

———————

TANTAL.

Niegdyś w pragnienia wieczystego męce,
Nawskróś palony żary piekielnemi,
Napróżno swoje wyciągałem ręce
Po owoc, który uciekał przed niemi;
I próżno usta swe na fali kładłem,
Goniąc za wiecznie kłamliwem widziadłem.

We mnie i za mną wrzało całe piekło,
Na pastwę piekłom wydając mnie nowym:
Pierś moją bólem strawioną i spiekłą,
Erynje biczem krwawiły wężowym,
I urągały mi te mściwe duchy,
Patrząc na mojej wściekłości wybuchy.

A ja naówczas, ciągle pożerany
Żądzami, które w nieskończoność rosły,
Byłem jak ogniem ziejące wulkany,
Na przekór losom groźny i wyniosły:
I jakaś wielka tytaniczna siła
W wnętrznościach moich skrępowana tkwiła.

Więc choć bóstw łaski wzywałem w mej kaźni,
To prośba moja do podziemnych grzmotów
Była podobną — i sam bez bojaźni
Przeciw ich woli stanąć byłem gotów:
Bom czuł, że w gniewnej ducha zawierusze
I więzy moje i świat cały skruszę.

Teraz bogowie próśb mych wysłuchali
I mąk wieczystych zdjęli ciężar ze mnie.
Pierś się już moja płomieniem nie pali —
I nie pożądam niczego daremnie:
I nic nie pragnę, za niczem nie gonię,
Lecz obojętnie patrzę w wieków tonie...

Dzisiaj piekielne mnie się nie śnią rzeczy:
Z moich udręczeń nikt się nie natrząsa;
Głos Eumenid już mi nie złorzeczy
I bicz wężowy serca mi nie kąsa:
Ucichły jęki, zagasły płomienie...
I martwe tylko nastało milczenie.

A oto w takiem odrętwieniu głuchem,
W którem mnie żadna boleść nie dosięga
Wraz z żądz straconych burzą i rozruchem
Cała się moja rozpierzchła potęga;
I dziś minionych męczarni żałuję,
Gdyż się nędzniejszym, niźli przedtem, czuję.

Wróćcie mi zatem, nieśmiertelne bogi!
Grozę mych piekieł i straszliwe kary,
Wróćcie mi widok Erynji złowrogi
I niezgaszone pragnienia pożary!
Niech się rwie Tytan ze swego łańcucha,
Niech pragnie, cierpi — lecz niechaj wybucha!

LYKOFRON DO FATUM.

Już dogorywał świat grecki... minęły wieki
Potężnych natchnień młodzieńczych i wyschły
[źródła twórczości;
Wśród sporów biegłych sofistów
Konało piękno;
Umilkły lutnie poetów. Jeden z ostatnich,
Żyjący wówczas Lykofron, co skrycie czcił jesz-
[cze Muzy,
Na progu opustoszałej
Świątyni bogów,
Na marmurowej tablicy ten napis wyrył:

»O Fatum! pożerające ludzi i bogów,
Grzebiące w ciemnej otchłani długie pokoleń
[szeregi, —
Głuche na wszelkie wołania
I bez litości!
Czy cię czcić? czy też przeklinać? — nie wiemy;
Nie wiemy, jakim sposobem dzierżysz swą wła-
[dzę nad nami,

Nie wiedząc, czyli dłoń twoja
Świat wydobyła
Z bezwładnej chaosu nocy, co bez początku...

Pierwotnie przed twoim tronem stał ród kwitnący
Promiennych blaskami niebian, którzy z twojego
[ramienia,
W przystępnej ludziom postaci,
Rząd sprawowali:
Wypełniał światów przestrzenie orszak tęczowy
I igrał w powietrznej fali ogniami nieśmiertelności,
I złotą jutrznią Olimpu
Oczom nieśmiertelnych
Przesłaniał oblicze twoje nieubłagane.

Ułomne były to bogi! żądz ludzkich pełne,
Dyszące gniewem, zawiścią, rozkoszujące się ję-
[kiem
Skazanych na wieczność całą
W czarnym Hadesie;
Ułomne były to bogi! chciwe swej chwały,
Cień tylko władzy znikomy posiadające w swej
[dłoni
I nic nie zdolne odmienić
W przeznaczeń biegu,
Wytkniętych poza ich wiedzą przez kolej wieków:

»A przecież te ich postacie świeciły ziemi
Blaskiem wieczystej młodości i nieśmiertelnych
[rozkoszy
I żyły w całej swej krasie
W sercu człowieka
Dobrze spoczywać mu było w cieniu ich łaski,
Zwracać się do nich z modlitwą w pragnieniach
[nienasyconych,
I żądać losów odmiany
W każdem nieszczęściu,
I wierzyć, że mu pomogą, gdy ich przebłaga.

»Ale ty, w cieniu schowana surowa władzo
Przygotowałaś w milczeniu koniec boskiego ich
Z pokojem patrząc się na to [bytu,
Jak giną wieczni;
Patrzałaś, jak się spychają z niebieskich wyżyn,
Jak odsłaniają śmiertelnym całą swą słabość
[i nędzę...
Jak zamierają powoli
W piersiach Ludzkości —
Aż pogrzebałaś ich wszystkich w bezdennej próżni!

»Tak spadły całe ich rody! Różowy Olimp
Girlandą gwiazd spadających w przestrzeń roz-
[sypał się ciemną;

Nawet ogniste Hadesu
Zagasły tonie;
Nastała posępna cisza, świat opustoszał;
Wszystko i wszystkich zrównało powszechne
[prawo zagłady:
A człowiek sam na sam z tobą.
O, ślepe Fatum!
Pozostał, mając pod nogą otchłań nicości —

Sam, wobec twojej wszechmocy pełnej tajemnic
Pozostał jako niewolnik niezrozumiałej tyranii,
Wpatrzony w wieczną zagadkę
Swego istnienia;
Na gruzach wszystkich swych marzeń pozaświa-
[towych
Zobaczył tylko w błękitach cień twój bezkształ-
[tny, olbrzymi,
Który nikogo nie karze,
Ani nagradza,
Lecz wszystkim wyznacza miarę koniecznej męki.

Jednak twe rządy ponure, nie są wieczyste,
Bo twój niewolnik powstanie w przyszłości prze-
[ciwko tobie,
Kłamliwa maro nicestwa,
O, ślepe Fatum!

I strąci gwałtem ze szczytu nieskończoności
Twą maskę nieubłaganą, a ta, spadając z błękitów,
Odsłoni jasnego Boga
Który z miłością
Wciąż wyżej po szczeblach przemian prowadzi
[światy.

THETYS I ACHILLES.

Równo z jutrznią pośpieszną, co na niebie już
[wschodzi,
Thetys smutna i blada, na perłowych konch łodzi
Z głębi morza wypływa. Przed nią fali błękity
Rozsuwają się cicho i szlak złotem nabity
Znaczy drogę, po której jej perłowa łódź przejdzie
Każda fala się kłania modrookiej Nerejdzie
I całuje jej stopy, bielsze jeszcze od piany,
Którą lekko okrasi pierwszy promień różany.
Brzmienia słodkie, łagodne, jak amfijońskiej głos
[liry,
Towarzyszą jej w drodze przez te płynne szafiry;
A na muszli najcichszy syn Eola z uśmiechem
Biały żagiel wydyma swoim wonnym oddechem,
Wkoło rzesza delfinów, ssąc powietrze w swe
[płuca,
Wodotryski srebrzyste ponad fale wyrzuca.
Złotowłosych cór morza, śpiewnych Nerejd gro-
[mada
Igra z falą, lub z wdziękiem na delfinów grzbiet
[wsiada,

Zakwitając różowo w złotym deszczu promieni,
Co ich ciała przejrzyste tchem rozkoszy rumieni.
Towarzyszą Thetydzie oceanu dziewice:
Jedna sterem kieruje, druga trzyma kotwicę;
Owa piersią swą śnieżną w biegu wstrzymać chce
[fale;
Inna z morza dobywa promieniste korale;
U tej w ustach pobudką śpiewająca brzmi koncha,
A ta znowu schylona dziwny morski kwiat wącha;
Inna drażni delfiny, inna łowi od rana
Siecią rybki skrzydlate... Thetys, smutna, stro-
[skana,
Na to wszystko nie zważa, towarzyszek nie pieści;
Pełna gorzkich rozmyślań i głębokiej boleści,
Myśli tylko o synu, o Achillu, na którym
Przeznaczenie zawisło swym wyrokiem ponurym.
Śpieszy właśnie do niego szafirowych fal drogą,
By los groźny odwrócić macierzyńską przestrogą;
I tak płynie przez błękit zamyślona, milcząca...
A perłowa łódź chyżo ciche fale roztrąca.

* * *

Nad wezgłowiem Achilla Thetys siadła strapiona
I objęła pierś jego w swoje śnieżne ramiona.
Z dumą matki, choć razem z myślą dziwnie ża-
[łobną,
Postać męża podziwia, bogom tylko podobną,

I widokiem się poi bohaterskiej postaci,
Której nic nie wyrówna, której nic nie opłaci;
Pocałunkiem to jasne, czyste czoło pokrywa —
Razem dumna i trwożna, zrozpaczona, szczęśliwa!

— O Achillu! — zawoła — nie gardź bogów
[przestrogą!
Jeśli prośby twej matki nic nad tobą nie mogą,
Słuchaj niebios ostrzeżeń i w rodzinne wróć strony
Gdzie cię czeka twój ojciec, starzec biedny, stę-
[skniony.
Wszakże dosyć masz sławy; ta na wieki ci
[starczy:
Możesz cicho więc w domu miecz zawiesić na
[tarczy,
I pod cieniem ojczystej spoczywając oliwy,
Ród Pelidów utrwalić. — Maż twój ojciec sędziwy
Bezpotomnie, samotnie, rzucać świat ten na wieki,
Bez pożegnań ze synem, bez najczulszej opieki,
Bez uczczenia popiołów przez rycerskie igrzyska,
Bez dziedzica dla mienia, swojej władzy, na-
[zwiska?
Maż twa matka tak rychło, w samym kwiecie
[młodości
Widzieć ciebie schodzącym w nieprzebyte cie-
[mności?

»I utracić skarb drogi, co zaledwie przez chwilę
»W całym blasku widziała, i piękności i sile?
»Ach, ty nie wiesz jak wielka strasznych męczarń [przyczyna
»Nieśmiertelnej i wiecznej śmiertelnego mieć syna;
»Jak okropnie jest widzieć niezbłaganą konieczność
»I nie módz jej odwrócić, i tak zostać na wieczność!«
— »Matko! — Achill odrzecze — co nam pomódz [jest w stanie,
»Na zagubę skazanym, naszych losów badanie?
»Prędzej, później, paść musim w otchłań dla [nas otwartą;
»Chwilę możem odwlekać, lecz czyż odwlec ją [warto —
»Żeby stracić walk naszych i poświęceń korzyści,
»Z drzewa życia spadając jako suchych proch liści?
»Nieśmiertelność bez walki — bogów tylko udzia- [łem!
»Oni jedni panują nad istnieniem nietrwałem,
»Oni jedni, niezmienni, bez boleści i troski,
»Rozlewają strumieniem życie jako dar boski.
»Nieśmiertelność jest bogom przyrodzoną: my, [ludzie —
»Ją zdobywać musimy w krwawym znoju i trudzie,
»Życiem całem, na szalę losów świata rzuconem,
»Wytrwałością niezłomną, bohaterstwem i zgo- [nem!

»Nam potrzeba bez trwogi w kroczyć w cienie
[Erebu
»I wyjść stamtąd zwycięzcą — żeby wydrzeć ją
[niebu!
»Więc, gdy taka konieczność, bezskuteczny żal —
[na co?
»Na co rady troskliwe, które wartość swą tracą,
Nic odmienić nie mogąc? — Tak więc matko,
[daremnie
Swoim żalem i smutkiem budzisz gorzką myśl
[we mnie,
Tę myśl, która mnie także dręczy często bo-
[leśnie:
Żem jest tylko śmiertelnym i że umrę przed-
[wcześnie!«

— Na cóż ginąć przed czasem? — smutno Thetys
[odpowie —
Gdy ci żywot najdłuższy obiecują bogowie,
Byleś tylko odstąpił, póki jeszcze jest pora,
I nie szukał tryumfu w krwawym zgonie Hektora?
Dopóki on nie padnie, jesteś jeszcze bezpieczny...
Tak brzmi wyrok przeznaczeń, niewzruszony
[a wieczny.
Ale szala ta sama, co zwycięstwo ci skłania,
Razem czas nam odważa wieczystego rozstania.

»Więc powstrzymaj, o, synu! zapęd miecza
[zwycięski:
»Co ci przyjdzie z Hektora poniżenia i klęski?
»Co ci przyjdzie, że życiem bohaterów rozrzutny,
»Nową poślesz ofiarę Persefonie okrutnej?
»Że ją wydrzesz rodzinie i rozkoszy i chwale,
»Tyle szczęścia niwecząc — gdy sam losów swych
[szalę
»W czarny Hades przeważysz, z wieczną matki
[twej szkodą,
»I na głowę twą ściągniesz śmierć tak smutną,
[tak młodą!«
— »Matko moja, Thetydo! — Achill znowu roz-
[pocznie —
»Naszym losem i każdym z naszych czynów wi-
[docznie
»Wyższe prawo rozrządza. Kto ma w sobie swej siły
»I wielkości poczucie, kogo mlekiem karmiły
»Nieśmiertelnych bóstw piersi — ten się cofnąć
[z swej drogi,
»Choćby zechciał, nie może: bez litości, bez trwogi,
»Musi ciągle iść naprzód, niosąc z sobą miecz
[krwawy;
»Jak niewolnik swych czynów, swej wielkości,
[i sławy,
»Musi zdeptać, co słabsze, i po ciałach tysiąca
»Bohaterów przejść wzgardą jak potęga niszcząca,

Z każdą sławą się mierząc, która zazdrość w nim
[budzi,
I nie znosząc równego wśród pół-bogów i ludzi, —
Póki jeden nie stanie ponad światem wszech-
[władnie
Jako pomnik na przyszłość, lub dopóki — nie pa-
[dnie!
Na tem właśnie polega nasza wielkość i chwała,
By dokonać wszystkiego, co nam tylko wskazała
Moc wewnętrzna, nie dbając, co i kiedy nas
[czeka, —
Bez litości nad sercem i nad losem człowieka!
Prąd nas zmusza, silniejszy ponad żale chwilowe,
Pędzić dalej a dalej, po zdobycze wciąż nowe!
Przez tryumfy i klęski, przez orężne zatargi
Całych plemion przez stosy ciał poległych,
[przez skargi
Biednych starców i niewiast, przez ruiny
[i zgliszcze —
Tak zdążamy do celu! Każdy mniema, że zy-
[szcze
Nieśmiertelność dla siebie i nie troszczy się wiele
O przeznaczeń wyroki i o skryte ich cele.
Ostateczny cel jaki? Nikt się tego nie dowie
Z nas, śmiertelnych; zaledwie znać go mogą bo-
[gowie.

EPAMINONDAS.

W chwili zwycięstwa, wśród walczących tłoku
Żelazny grot utkwił w jego boku,
I przeszył pierś i pozostał w ranie...
Na tarcze swe wzięli go Tebanie
I do namiotu zanieśli. Obficie
Krew uchodziła a z nią razem życie.
Wódz podniósł głowę i na orszak zbrojny
Badawczo wzrok rzucił niespokojny.
Trwoży go boleść na twarzach wyryta:
— »Czy ustał bój? — niecierpliwie pyta —
»Czy z rąk nam pewne zwycięstwo wydarto?«
Odrzekli: — »Wszystko skończone ze Spartą,
I nadal jej dziś zwycięskie Teby
Nie będą miały lękać się potrzeby«.
— »Skądże więc żal w waszych sercach gości,
Zamiast tryumfu, dumy i radości?«
A na to w głos rzekną mu rycerze:
— »Najszlachetniejszą los nam zdobycz bierze,
Gdy żywot twój, tak ojczyźnie drogi,

Uciekające zabrały nam wrogi...
I szkoda nam twych dni pełnych chwały
Pod których tarczą Teby zwyciężały,
I smutno nam, że tak bez potomków,
Którym-byś sławę przekazał wśród ziomków,
Odpływać masz na posępnej łodzi...
Wszak cenić życie wszystkim nam się godzi?«
— »I ja też cenię — z dumą wódz odpowie —
Ów życia dar, który nam bogowie
Zsyłają na to, by wśród przeszkód wielu,
Wytknąwszy cel — prosto iść do celu
I zbierać słodycz po drodze rozlaną,
I jasność nieba podziwiać różaną.
Jam ten dar cenił — bo kto w swojej dumie
Pogardza nim, pewnie ten nie umie
Żyć i umierać. Lecz dlatego właśnie,
Żem cenił życie — teraz, kiedy gaśnie,
Bez żalu mogę rzucać jasność słońca,
Widząc je czyste i piękne do końca.
Ginąć w sam czas, wśród walki zwycięskiej —
To najpiękniejszy koniec pracy męskiej;
I bardzo mnie obdarzyły nieba,
Dając i żywot i zgon jaki trzeba.
Pięknie mi przeszedł cały wiek młodzieńczy,
A teraz jeszcze najpiękniej go wieńczy
Chwalebna śmierć, która pracownika
Strudzone oczy pod wieczór zamyka.

Nie schodzę przytem z świata bezpotomnie:
Mam córki dwie — te zostaną po mnie...
Leuktra jedną, Mantinea drugą —
Te będą żyć po mym zgonie długo«.

KRÓL JUBA.

Chodź, Petrejuszu — rzecze król Juba —
Poco nad klęską chmurzyć swe czoło?
Nie czas żałować... skończona próba;
Potrzeba zginąć wesoło!

Cezar zwycięża; my, zwyciężeni,
Już się nie dźwigniem więcej z pogromu:
Pole zabitych krwią się rumieni
I niema walczyć już komu.

Cezar nas wszystkich osaczył w matni:
Na cóżby wszystkie skargi się zdały!
Czy my to pierwsi? czy my ostatni,
Co nędznie giniem bez chwały?

Ktoś musi zawsze ustąpić z drogi;
Dziś na nas kolej, oni są górą...
Lecz, Petrejuszu, klnę cię na bogi,
Czemu spoglądasz ponuro?

Czy żal ci tęczy złudzeń rozwianej?
Żal ci wolności jasnych sztandarów?
Rzymu — co będzie dźwigał kajdany
Pod stopą swoich cezarów?

Żal ci szlachetnej myśli, co ginie,
A której inni podjąć nie zdolni?
Rozpogódź czoło, mój Rzymianinie:
Zgon nas od troski uwolni!

Ja, barbarzyńca, syn dzikich plemion,
Nie będę waszym rozpaczom wtórzył;
Gdy lud zwycięzcy gnie się do strzemion,
Ma los, na jaki zasłużył.

Ja, barbarzyńca, nie znam, co smutki:
Walczyłem z wami wiernie do końca;
Teraz chcę jeszcze, przez ten czas krótki,
Ucztować do wschodu słońca.

W moim pałacu czeka biesiada:
Więc ciebie na nią zapraszam w gości;
Zanim nam usta zamknie śmierć blada,
Wypijem na cześć wolności!

Cóż, miły gościu? czyż nie ochoczo
Bawim się, tłumiąc myśli złowieszcze?
Zanim nas tutaj wrogi zaskoczą,
Do picia mamy czas jeszcze.

Niech żyje słodka winna jagoda!
Niech żyje napój zesłany z nieba!
Takich nektarów zostawić szkoda,
Amfory skończyć potrzeba.

Więc prędzej, czary wychylmy do dna!
Każda z nich z czoła chmurę nam strąca:
Niech żyje męstwo i myśl swobodna,
Niech żyje wolność ginąca!

Chodź, niewolnico, moja ty biała,
Śnieżnem ramieniem opasz mi szyję:
Niech żyje powab pięknego ciała,
Cypryjskie bóstwo niech żyje!

Weź jeszcze swoją lirę do ręki
I śpiewaj grecką piosnkę miłosną:
Niech żyją pieśni rozkoszne dźwięki,
Od których serca tak rosną!

Dość... dość, Greczynko! dolej nam wina
I ucisz ust twych śpiewne słowiki:

Niech nam numidzka teraz dziewczyna
Zatańczy taniec swój dziki.

Dosyć i tańca! Jutrzenka chyża
Niedługo dzienne światło odnowi:
Więc nasza uczta także się zbliża
Teraz ku swemu końcowi.

Wszystko się kończy, co się zaczyna,
Czy złe, czy dobre losy człowiecze...
Ostatnią czarę spełnijmy wina
I weźmy w dłonie dwa miecze.

Zmierzym się z sobą, tak, dla zabawy...
Wiem, że się stalą zabawim ładnie;
Komu los będzie sprzyjać łaskawy,
Ten z ręki drugiego padnie.

W walce umierać jakoś najgładziej
I cała przykrość namysłu znika:
Kto pozostanie, niech sobie radzi
I ginie z rąk niewolnika.

Cóż, Petrejuszu? rozjaśniasz lica
I za żelazo chwytasz z pośpiechem?
Mój pomysł ciebie widać zachwyca,
Bo usta krasisz uśmiechem!

A więc skrzyżujmy nasze oręże!
O cios śmiertelny będziem się spierać;
Walczmy jak wrogi, walczmy jak męże,
Z których chce każdy umierać!

Co? ty się chwiejesz pod moim ciosem...
Padasz na ziemię, o Rzymianinie...
Słusznie, żeś został wybrany losem:
Wszak byłeś u mnie w gościnie...

Musisz mi przyznać, że byłem hojny,
Niosąc ci w końcu ten dar żelazny:
Już nic nie pragniesz... jesteś spokojny
Poległszy z ręki przyjaznej.

Teraz i na mnie nadchodzi kolej...
Daremnie żądać pomocy bratniej —
Greczynko, jeszcze wina mi dolej,
Daj pocałunek ostatni!...

Hej, niewolniku! zwiędły mi róże:
Przygotuj świeży wieniec na skronie,
Popraw draperye na mej purpurze...
A teraz — ujmij miecz w dłonie.

Posłuchaj, chłopcze... wolnym cię robię,
Tylko idź ślepo za mym rozkazem:
Kiedy różami czoło ozdobię —
Przeszyj mi piersi żelazem!

JULIAN APOSTATA.

Na czele bitnych rzymskich legionów,
Spaliwszy na Tygrze floty, —
Gdzie przed wiekami wódz Macedonów
Rozbijał swoje namioty,

Stanął zazdrosny jego podboju
Świeżą okryty purpurą
Cezar, co, wedle sługi pokoju,
Na słońcu prawdy był chmurą*).

Pieszcząc w swem sercu przeszłości marę,
Chrystusa sieciom niechętny,
Zamierza wskrzesić imperyum stare
I Olimp bogów ponętny.

Jedzie i marzy o swoim wrogu,
Co berło świata wydziera, —

*) Tak panowanie Juliana nazywał Atanazy, biskup aleksandryjski.

O tym nieznanym i cichym Bogu,
Co gdzieś na krzyżu umiera.

»Duszę mam — mówi — blasków słonecznych
»Pełną i nimi obrzucę
»Ludzkość spragnioną jutrzenek mlecznych,
»I dawną pogodę wrócę.

»Przezemnie błyśnie dawna potęga
»Obrządku, co światem władnie,
»A nowa wiara, co Rzym rozprzęga,
»Pod stopą moją upadnie.

»Nie w ciemnem, nawpół dzikiem marzeniu
»Leży zbawienie dla świata,
»Lecz w tym Heliosa jasnym promieniu
»Dojrzewa przyszłość bogata.

»Mądrość, na którą wieki się całe
»Składały w ciężkiej kolei,
»Mamyż wymienić za to niestałe
»Zaziemskich widmo nadziei?

»I barbarzyńską targnąć się ręką
»Na święte przodków spuścizny?
»Za galilejską biegnąc jutrzenką,
»Odstąpić wrogom ojczyzny?

»O, nie! mój mistrzu, co wzrok odrywasz
»Od ziemi, gdzie życia cele,
»I myślą w sennem niebie spoczywasz:
»Ziemią się z tobą nie dzielę;

»Lecz ją sam ujmę w żelazne dłonie,
»Promienną przeszłość odtworzę:
»A na zwycięskim wejdzie zagonie
»Słońce, co zgasnąć nie może«.

Tak dumał Julian, patrząc się w gwiazdy,
I szukał swojej w niebiosach,
Aż wtem z pod ziemi perskie podjazdy
Przyszły rozstrzygać o losach.

Wzięły zwycięstwo bitne legiony,
Pierzchają hordy przed nimi;
Ale wódz, strzałą perską raniony,
Chyli się z konia ku ziemi.

I laur ostatni rwąc na tej niwie,
Obficie krwią swą go zmywa...
Spojrzał się w górę dumnie, wzgardliwie,
I sny stracone przyzywa.

Potem, zgarniając w dłonie już drżące
Strumień krwawego koralu,

Cisnął nim w niebo jasne, milczące,
Z wymówką skargi i żalu —

I zionąc duszę w namiętnym krzyku,
Słabnący rzekł Apostata:
— »Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku!
»Lecz jutro!... gdzie jutro świata?

»Cóż, że my padniem przy tych bożyszczach,
»Tchnących wdziękami młodości?
»Cóż, że na naszej potęgi zgliszczach
»Ponury krzyż się rozgości?

»Że ten świat grecki w mgły się rozwieje
»Z harmonią tęczowych mytów,
»Że w miejsce niego niebo zadnieje
»Męczeńskich pełne zachwytów?

»Czy krzyż otworzy swoje ramiona
»Tułaczej narodów rzeszy?
»Czy w cieniu jego spocznie strudzona
»Ludzkość, co nie wie, gdzie śpieszy?

»Czy tak, jak teraz kona świat stary
»Pod znakiem boskiego Zbawcy
»Nie będą padać ludów ofiary,
»Wleczone pod miecz oprawcy?

»Czy w imię tego czarnego krzyża
»Świat się nie spławi krwi strugą,
»I wiara, co dziś niebo przybliża,
»Ciemności nie będzie sługą?

»O! przyjdzie chwila, w której o Tobie
»Gromady zwątpią cierpiące,
»Gdy ujrzą na swych nadziei grobie,
»Jak ja dziś, niebo milczące —

»I wołać będą w dzikim okrzyku,
»Padając pod topór kata:
— »Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku!
»Lecz jutro!... gdzie jutro świata?«

VI.

W TATRACH.

WSTĘP.

O, matko ziemio, dobra karmicielko!
Żywisz nas hojnie przy swej piersi mlecznej
Niebieskiej rosy ożywczą kropelką
I promieniami jasności słonecznej,
Które przerabiasz na chleb, co się mnoży
Codziennym cudem wiecznej myśli bożej,

O, matko ziemio! ty nam, dając ciało,
Zbudzoną duszę karmisz na swem łonie:
Dajesz jej poznać świata piękność całą,
Oprowadzając przez błękitne tonie,
I po gwiaździstym unosisz przestworze,
Codzień poranku odnawiając zorze...

Roztaczasz przed nią kształtów nieskończoność
I coraz nowe przesuwasz obrazy;
Stroisz się w błękit morza, w łąk zieloność,
W błyszczące piaski, niebotyczne głazy;
Rozwijasz widzeń tęczę malowniczą
I świeżych wrażeń napawasz słodyczą.

Ty ją przenikasz barw i dźwięków falą,
Przez zmysły drogę otwierając do niej;
Rzucasz w nią ognie, co się wiecznie palą
W obłoku marzeń i kwiecistej woni;
Podajesz przędzę, którą ona bierze,
Snując z niej dalej pasma uczuć świeże.

Ty jej swe wszystkie skarby zgromadzone
Rzucasz na pastwę z rozrzutnością matki,
Pozwalasz zdzierać z twarzy swej zasłonę
I coraz nowe zadajesz zagadki,
Kryjąc w swej dłoni jako Izys czarna,
Kwiaty lotusów i pszeniczne ziarna.

Dobra piastunko! trzymasz nas tak mocno
Na swojej piersi, co się ciągle chwieje...
Sny cudowności zsyłasz porą nocną,
A we dnie własne opowiadasz dzieje,
Nawet prostaczkom dając mądrość wielką, —
Dobra piastunko i nauczycielko!

My się nie możem oderwać od ciebie,
Ciężarem ciała z ciałem twem spojeni;
I chociaż myślą wzlatujem po niebie,
Sny zaświatowe ścigając w przestrzeni,
Musimy zawsze czuć pod nogą swoją
Ten grunt, na którym kształty nasze stoją.

Musimy z tobą w zgodzie żyć: inaczej
Duch się obłąka w mgle urojeń ciemnej,
W złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpaczy,
W sennem omdleniu lub w walce daremnej —
I poza światem pędzi żywot chory,
Nie mając twardej dla siebie podpory.

Musim żyć z tobą w zgodzie — do mogiły,
Chociaż cel wyższy stawiamy przed oczy.
Prągnąc zaczerpnąć świeży zasób siły,
Każdy z nas musi w walce, którą toczy,
Tak jak Anteusz, dotykać się ziemi...
Bośmy, o matko, wszyscy dziećmi twemi.

Na twoich błoniach wschodzimy jak kwiaty,
A ty stosowne nam wyznaczasz grządki:
Każdy dla siebie znajdzie grunt bogaty,
Swych poprzedników prochy i pamiątki;
I każdy tylko na swej własnej niwie
Może zakwitać silnie i szczęśliwie.

Tam tylko znajdzie odpowiednie soki,
Właściwy zakres i warunki bytu,
Skwarny blask słońca, albo cień głęboki,
Modrą toń jezior lub krawędź granitu;
Tam kształt i barwę właściwą przybiera,
Na czas dojrzewa i na czas zamiera.

Zna się z burzami swej ojczystej strony
I z tchnieniem wiosny, która go upieści...
I od początku idzie uzbrojony
Na rozkosz życia i jego boleści:
Więc nic dziwnego, że nad wszystkie inne
Musi ukochać zagony rodzinne.

To przywiązanie, które ludzie prości
Czerpią z cichego z naturą przymierza.
Stwarza ojczyznę jako cel miłości,
I coraz więcej zakres swój rozszerza,
Aż cały krąg twój obejmie — o, ziemio!
Razem z zmarłymi, co w grobowcach drzemią.

A kto ukochał ciebie sercem swojem
I w twe objęcia chyli się z tęsknotą,
Tego pogodnym obdarzasz spokojem,
Spojrzeniem matki i matki pieszczotą, —
W zaczarowane znów wprowadzasz koło,
Wracając młodość jasną i wesołą.

Chociaż do ciebie przybędzie złamany,
Uchodząc losów ciężkiego rozbicia,
Ty, dobrotliwa, zagoisz mu rany,
I spędzisz z duszy palący ból życia,
I cierpiącego pojednasz człowieka
Z tem, co już przeżył, i z tem, co go czeka.

I wszystkim, którzy do ciebie się garną,
Pozwalasz zebrać odpowiednie żniwo:
Młodzieńcom dajesz serca moc ofiarną,
A starcom dajesz wytrwałość cierpliwą, —
Zadowolenie, co twarz krasi bladą,
I uśmiech, z jakim do grobu się kładą.

Bo ty, — o, matko, — masz dla swoich dzieci
Zawsze miłością promienne oblicze,
I twój wzrok jasny, co nam w życiu świeci,
Jeszcze rozwidnia mroki tajemnicze,
Kiedy zamykasz miłosierne łono
Nad garścią prochów — prochom powróconą.

MORSKIE OKO.

O, wielki poemacie natury! któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem wie-
[czystem?
Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę
I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże?
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?
Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem?

O, wielki poemacie! ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem,
Gdy, pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna

W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

NOC POD WYSOKĄ.

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany,
I wciąż się zdawał oddalać nanowo
Wierzchołek w słońca promieniach kąpany:
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom
Wciśnięta między dwa ramiona góry
Kotlina, pełna granitowych łomów,
Które zdaleka sterczały jak mury
Zdobytej twierdzy lub zburzonych domów.
Była to naga, posępna kotlina,
Cieniem dwóch groźnych wierzchołka piramid
Pokryta. — W głębi toń jeziorka sina
I mchu na głazach zielony aksamit....
Zresztą ni trawki, ni krzewu — jedynie
Woda, i głazy, i mchy w rozpadlinie.

Tu na jeziora zeszliśmy wybrzeże
Między zwalone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże
I mech jedwabny podesłać pod głowę
W miejscu, gdzie wielkie głazy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę,
Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce góry zasłonięte grzbietem,
Barwiło w szczytach wyzębione skały
Złotem, purpurą albo fioletem...
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrożonem jeziorka zwierciadłem,
Co, z brzegów w śniegi oprawne i lody,
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem — jako w pracy nieustannej
Fala srebrzystą powłokę podmywa,
Aż tafla lodu, dźwięk wydając szklanny,
Pęka i dalej z szelestem odpływa:
Patrzałem — jako na posępnej toni
Kra oderwana krąży wkoło brzegu,
Jak jedna drugą potrąca i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu...
I żałowałem, że się próżno kręci,
Przypominając sobie ludzką dolę,
W której, ach, nieraz wszystkie dobre chęci
W zaklętem muszą obracać się kole...

Tymczasem dołem ciemne cienie rosły,
Bory zsiniały od mgieł mleczną szatą
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,
Pobladł i barwę przyjął popielatą.
Wraz z znikającą jasnością promienną
Ostatnie życia uchodziły ślady...
Mrok zwiększył martwość pustkowia kamienną,—
I obszar zastygł, posępny i blady,
I swym straszliwym przytłoczył ogromem
Myśli zbłąkane w państwie nieruchomem.
Geniusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści mierząc mnie oczyma,
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
Rozpościerając dokoła nade mną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną,
I tę samotność zamarłego świata
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata,—
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie
I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganem, bezlitosnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem... tajnem... nieujętem...

Uczuciem takiej grozy pokonany,
Między zaciszne powróciłem ściany,
Gdzie towarzysze legli już strudzeni
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;
I sam złożyłem głowę na posłaniu
W półsennem teraz pogrążon dumaniu.

Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękity niebios przeźroczyste
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
Stały się więcej ciemne, przepaściste —
I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte;
Zostało jedno wielkie rusztowanie
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
Ponad którymi dwie wierzchołka wieże,
Dwa wyniesione ostrokręgi cieniu,
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu.
Cisza! a jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągle wrzenie słyszy, —
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,

I pękających głazów łoskot głuchy,
I wszystkie świata nawpół senne ruchy.
Czasami skała u szczytu wisząca
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem
O najeżone ściany się roztrąca;
Huk długo echa powtarzają potem —
Aż rozsypany głaz na drobne części
W wąwozie gradem kamieni zachrzęści...

I znowu wszystko wraca do spokoju;
Tylko, jak dawniej, szepczą z sobą góry
Podmuchem wiatru i szemraniem zdroju;
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa, i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

W ślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwilę
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży
I o boleści, co go we śnie trwoży...
On się zanurzył w źródle wiecznie-żywem,

Poruszającem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednem łańcucha ogniwem
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia;
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem,

VII.

WĄTPLIWOŚCI.

Strumień mówi: »Nie rozumiem na co
»Muszę wiecznie z gór w doliny płyną?
»Mój ruch ciągły próżną tylko pracą,
»Kiedy w morzu mam bez śladu ginąć«...
Na to kwiaty w dolinie rosnące:
»Ty się nie skarż, — o dobry strumieniu! —
»Twoje wody sączą życie łące,
»Są niezbędne naszemu istnieniu«.

Kwiaty mówią: »Dziwne nasze losy!
»Poco wonie rozsiewać z kielicha?
»Poco błyszczeć kropelkami rosy?
»Gdy z nas każdy tak szybko usycha«.
Na to dziewczę: »Dola wasza, kwiaty,
»Jest podziwu godną i zazdrości:
»Waszym wdziękiem ożywiacie światy,
»Sercom ludzkim niosąc woń piękności«.

Dziewczę mówi: »Na co mi uroda?
»Na co w sercu słodkich wzruszeń tyle?

»Szkoda marzeń serdecznych, ach, szkoda!
»Wszystko zniknie jako sen, za chwilę«.
Na to młodzian: »Szczęścia nikt nie mierzył
»Dnia długością, lecz tem, co mu dano:
»Bóg ci skarby uczucia powierzył,
»Byś kochała i była kochaną«.

Młodzian mówi: »Ach, w tym życia boju,
»Co wre ciągle przedemną i we mnie,
»Próżno szukam szczęścia i spokoju!
»Poco żyję, gdy walczę daremnie?«
Na to usta dziewczęcia milczały,
Lecz rączkami oplotła mu szyję...
Wątpliwości jako śnieg stopniały —
I nie pytał więcej: poco żyję?

DZIWNY SEN.

Dziwny sen miałem z wieczora...
Trwał jakby przez wieczność całą:
Tyś była falą jeziora,
Ja byłem nadbrzeżną skałą.

Nie żałowałem tej zmiany,
Żem skałą, a nie człowiekiem
Marzyłem, żem jest kochany...
A wiek przemijał za wiekiem.

Nie żałowałem, że głuchy
Głaz nic powiedzieć nie może;
Mówiły ze sobą duchy —
Jam niebo widział w jeziorze.

Ty zawsze padała drżąca
Na moje piersi z granitu,
Złączona wśród lat tysiąca
Węzłami wspólnego bytu.

Kruszyłaś kamienne łono:
A jam się cieszył z zniszczenia,
Bo przeczuwałem spełnioną
Dolę zimnego kamienia.

Wiedziałem, że gdy do końca
Zamiary przywiedziesz zdradne —
Żegnając gwiazdy i słońca
W objęcia twoje upadnę.

LEGENDA PIERWSZEJ MIŁOŚCI.

Ja ją kochałem — tak mi się zdaje —
Bo cudną była w szesnastej wiośnie;
Umiała patrzeć na mnie miłośnie
I rwać mi serce w nadziemskie kraje.
A więc w jej oczach pełnych tęsknoty,
Tonąłem wzrokiem i tak na jawie
Śniłem o różach, które ciekawie
Ponad jej włosów wybiegły sploty, -
Tak, że je zrywać ustami chciałem,
I byłbym przysiągł, że ją kochałem!

Ja ją kochałem, — ach! jestem pewny! —
Bom często błądził w noc księżycową,
Przypominając mojej królewny
Każde spojrzenie i każde słowo;
A w gwiazdy patrząc wpół nieprzytomnie,
Widziałem usta zwrócone do mnie,
Że aż mnie brała wielka pokusa
W wonne powietrze rzucić całusa...

Lecz się obrazić skromnej lękałem,
I dość mi było, że ją kochałem...

Miłość to była, lecz taka cicha,
Że sam przed sobą bałem się zdradzić,
I tylko kwiatów szedłem się radzić:
Czemu dziś smutna i czemu wzdycha?
Ale o serca jej tajemnicę
Nie chciałem nawet lilii zapytać:
A gdy w ogrodu weszła ulicę,
Stałem, nie śmiejąc wzrokiem ja witać,
I tylko do nóg upaść jej chciałem,
Kiedy w jej oczach łezki dojrzałem...

Bo przypuszczałem, że smutek rzewny,
Rozlany na jej anielskiej twarzy,
Wypłynął z serca i siadł na straży...
Tak przeczuwałem, nie będąc pewny.
I sam już nie wiem, jak się to stało,
Że zapytałem drżący, nieśmiało:
Co jest jej smutku dziwną przyczyną
I czemu łezki po twarzy płyną!
Na to odrzekła smutnemi słowy,
Że nie ma świeżej sukni balowej...

Chociaż wyrazy te obojętne
Upadły szronem, co serce ziębi,

Ale jej oczy mówiły smętne,
Że się myśl inna kryje gdzieś głębiej:
Więc pomyślałem, żem był za śmiały,
I chcąc złagodzić moją zuchwałość,
Balowej sukni chwaliłem białość,
W którą się stroi krzak róży białej;
Chwaliłem ciernie, które jej bronią
Przed zbyt ciekawych natrętną dłonią.

Jednak już potem częściej myśl płocha
Trącała skrzydłem w błękit mych marzeń
I z różnych rozmów, sprzeczek i zdarzeń
Stawiałem wnioski: kocha? nie kocha?
I z tem pytaniem, jak Hamlet nowy,
Chodziłem długo w ranek majowy;
A kwiaty wonią, drzewa szelestem
Odpowiadały: Kocham i jestem!
Nim powtórzyłem setne pytanie,
Wybiegła wołać mnie na śniadanie.

Różowa ze snu, w słońcu przejrzysta,
Stała przede mną jasna i czysta.
Zamiast brylantów na złote włosy
Jaśminy kładły kropelki rosy...
I tak oblana światła potokiem
Jeszcze mnie swoim paliła wzrokiem;
A ja, zmieszany, mówiłem do niej

O drzew szeleście i kwiatów woni —
Lecz ją nudziła moja rozprawa,
Bo rzekła: »Chodź pan, wystygnie kawa«.

Oj! Oj! figlarko — myślałem z cicha, —
Nie chcesz mnie słuchać na głos i w oczy,
Za to twój uśmiech mówi uroczy,
I pierś, co mocniej teraz oddycha.
Nie chcesz mnie słuchać, bo w serca drżeniu
Czujesz, że staniesz cała w płomieniu,
Gdy ci wypowiem z schyloną twarzą
Słowa, co w ustach moich się ważą...
Wtem ona, widząc, żem zadumany,
Rzecze: »Pan jesteś dziś niewyspany...«

I tak mię nieraz mała psotnica
Zbijała z tropu krótkiemi słowy.
Jam się w anielskie wpatrywał lica,
I w usta pełne niemej wymowy,
I myśl czytałem, co z oczu strzela;
A serca mego tamując bicie,
Czułem, że nic nas już nie przedziela,
Że toniem razem w marzeń błękicie...
Lecz gdy się tylko spojrzałem tkliwiej,
Pytała: »Czemu pan się tak krzywi?«

Raz, ach! powziąłem myśl dosyć śmiałą,
Ukraść jej z album karteczkę białą

I na niej wszystko wypisać szczerze,
Co mnie ochota powiedzieć bierze:
A więc ubrałem w urocze farby
Całą jej postać czystą, powiewną.
I wysypałem końcówek skarby.
By miłość moją uczynić śpiewną —
Słowem jak młody poeta liryk,
Wpisałem wierszem jej panegiryk.

Gdy to odkryła, chciałem uciekać;
Ale przemogła trwogę, ciekawość, —
I już wolałem przy niej zaczekać,
Śledząc na twarzy wrażeń jaskrawość.
Ona czytała uważnie, zwolna,
Głębokich wzruszeń ukryć nie zdolna,
A gdy zdumienie minęło pierwsze,
Rzekła: »Pan także pisuje wiersze?
Szkoda, że kartkę odjąć wypadnie,
Bo pan tak pisze krzywo, nieładnie!«

Zrazu to nieco mnie zabolało,
Że mnie tak zbyła lekko, złośliwie;
Ale myślałem: Ja się nie dziwię,
Że moje wiersze ceni tak mało,
Ona! to jeden poemat cały,
A moje wiersze — pełne wyrazów
Pustych i ciemnych, mglistych obrazów.

Które w jej oczów blasku stopniały...
Nie umiem oddać tego, co roję:
Ona piękniejsza, niż wiersze moje!

I coraz bardziej i coraz wiecej,
O jej prostocie myśląc dziecięcej,
Pytałem siebie: czy jestem godny
Takiej miłości czystej, łagodnej?
Lecz czułem tylko, że byłbym dla niej
Gotów me życie poświęcić w dani;
I byłbym rzucił wszystko, — gdy trzeba,
I poszedł za nią prosto do nieba,
I byłbym poszedł za nią do piekła...
Gdyby — nie była z drugim uciekła.

RÓŻOWA CHWILKA.

Pięknym jest ten gaj,
Piękną jezior toń,
Pięknym świeży maj,
Co roznosi woń;

Pięknym jasny dzień,
Co blask złoty śle,
Pięknym nocy cień
Na błękitów tle;

Piękny cały świat,
Piękny wzdłuż i wszerz:
Piękny każdy kwiat,
Każdy ptak i zwierz;

Piękny słońca wschód
I rumieniec zórz:
Świat jak jeden cud,
Piękny wszerz i wzdłuż!

Szczęście, rozkosz tu,
Szczęście, rozkosz tam!
Piersiom braknie tchu
Czerpać zachwyt sam.

Rozkosz płynie w dal,
Rozkosz płynie w krąg,
Płynie z szumem fal,
Płynie z wonią łąk;

Płynie z dolin, z gór,
Z lasów, wsi i miast,
Z błękitów i chmur,
Ze słońca i gwiazd.

Słodko szumi las,
Słodką nuci pieśń,
Słodko patrzy głaz
Przez jedwabną pleśń.

Drzewa szczęściem drżą,
Drży ich każdy liść...
Drzewa tańczyć chcą,
Chcą powstać i iść:

Zatacza się buk
I cieszy się w głos;

Brzozy aż do nóg
Rozpuszczają włos.

Nawet stary dąb
Przystrojony w bluszcz
Chce się sunąć w głąb
Swawolących puszcz.

Ptaszki nucą tu,
Ptaszki nucą tam:
Brak mi w piersiach tchu —
Śpiew ich w sercu mam.

Słychać z poza drzew,
W jaśminie i bzie,
Słychać ciągle śpiew:
»Ona kocha cię«.

»Kocha« — pluszcze staw,
»Kocha« — szemrze zdrój,
»Kocha« — brzęczy z traw
Złotych muszek rój.

»Kocha« — słówkiem tem
Ziemia w koło brzmi —
»Kocha« — wiem już, wiem!
Sama rzekła mi.

Muszę wierzyć jej,
Bo mi rzekła: Wierz!
Słońce, ty się śmiej!
Ziemio, ty się ciesz!

Róży imię ma,
Różą jest jej twarz;
Kiedy rączkę da,
Różę w sercu masz.

Nie wiem, jak się stał
Cud niebieski ten;
Jednak to nie szał, —
Prawda? — to nie sen!

»Kocham« — rzekła w głos,
Płonąc jako świt;
Z ócz jej krople ros
Biegły gasić wstyd.

»Kocham« — szepnie znów —
A tuż za nią w ślad
Oddźwiękiem tych słów
Zabrzmi cały świat.

»Kocham« — śpiewa bór,
»Kocham« — woła głaz,

»Kocham« — echo gór
Odpowiada wraz.

»Kocham« — słówko to
Śle tysiące brzmień
I tęczową mgłą
Barwi jasny dzień;

W słońca blasku drży,
Lecąc w światów toń;
Dźwięczy, lśni się skrzy
I roznosi woń;

Na błękitów tle
Płonie ogniem zórz
I w powietrze śle
Słodki zapach róż.

I zakwita wschód
Jak różowy kwiat:
Świat jak jeden cud, —
Piękny, boski świat!

PRZEBUDZONA.

Słonko majowe
Ze snu już wstaje,
We mgłach różowe
Wyzłaca gaje,
Przez chmur koronkę
Patrzy ciekawie;
Biegnie przez łąkę
Kąpać się w stawie;
Promyki drżące
Po drzewach wiesza
I budzić śpiące
Kwiatki pośpiesza;
Ukradkiem, z cicha
Pączki rozwija
I w lot z kielicha
Rosę wypija.

O, ileż blasku!
Jakże uroczo

W poblizkim lasku
Ptaszki szczebioczą!
A z tego drzewa,
Co pod oknami,
Słowiczek śpiewa
Pieśń nad pieśniami.
Piosenka płynie
Dalekiem echem;
Chaty w dolinie
Wtórzą jej śmiechem...
Wszystko się budzi,
Do zajęć wraca;
Ożywia ludzi
Radość i praca.

I w sercu mojem
Coś się zbudziło:
Drży niepokojem
Dziwnie a miło;
Jakieś zachcenia
Nowe, nieznane,
Najsłodsze brzmienia,
Blaski różane, —
W serca się leją
I pierś podnoszą
Niby nadzieją,
Niby rozkoszą..

I coś mnie drażni,
Czegoś wyglądam...
Lecz najwyraźniej
Nie wiem, co żądam.

Chciałabym zrzucić
Postać dziewczyny,
Lecieć i nucić
Jako ptaszyny;
Po brzóz zwieszonych
Gałązkach pląsać,
Z listków zielonych
Rosę otrząsać;
W przelocie, szybko
Muskać strumienie
I srebrnym rybkom
Nieść pozdrowienie:
I ponad pola
I ponad laski
Lecieć, gdzie wola,
W różowe blaski, —
Coraz ku górze,
Wyżej i dalej, —
Tonąć w lazurze,
W powietrznej fali...

Chciałabym potem
Zakwitnąć różą,

Pod drzew namiotem
Pachnącą, dużą,
Strojną w szkarłaty
I wdzięk niezwykły, —
By wszystkie kwiaty
Gasły i nikły,
By słowik mały,
Skryty w gęstwinie,
Moje pochwały
Śpiewał jedynie.

Znaleźć-bym rada
Ów pierścień złoty,
Co-to posiada
Dziwne przymioty
I w nadzwyczajne
Kształty nas zmienia,
I wszystkie tajne
Spełnia życzenia.

Ale goręcej
Jeszcze-bym chciała
Znaleźć coś więcej...
Cobym kochała!
Niby człowieka,
Niby anioła,
Co mnie zdaleka

W snach moich woła.
Chciałabym jego
Znaleźć przy boku
Zapatrzonego
Z miłością w wzroku;
Rączki serdecznie
Podać mu obie
I mieć go wiecznie,
Wiecznie przy sobie...
Chodzić i gwarzyć
Wśród drzew warkoczy
I słodko marzyć,
Patrząc się w oczy...
I całą jasność
I piękność ziemi
Zabrać na własność
Sercami swemi,
I skryć w błękicie
Wszystko radosne...
I całe życie
Zamienić w wiosnę.

SCHERZO.

Siedzi w oknie cały ranek,
Do wieczora siedzi, —
Siedzi ciągle smutny Janek,
Czeka odpowiedzi.

Do swej lubej list wyprawił,
Na odpowiedź czeka;
Sześć miesięcy w oknie strawił,
Wzdycha i narzeka.

List wyprawił przez gołębia;
Gołąb nie powrócił:
Może spotkał gdzie jastrzębia,
Co mu drogę skrócił.

Wodzi okiem wciąż po niebie,
Na posłańca czeka,
Patrzy w górę, znów przed siebie...
Pies na niego szczeka.

Pytaniami wszystkich nudzi
I zaczepia co dnia
Ptaki, chmury, nawet ludzi, —
Każdego przechodnia.

Wszyscy się już z niego śmieją
Szczerze lub obłudnie;
On się żywi wciąż nadzieją,
Coraz bardziej chudnie.

Dziś znów patrzy w jedną stronę
I wzdycha okropnie...
Słońce poszło spać znudzone:
Zrobiło roztropnie.

Księżyc wyszedł już z gospody,
Po niebie się toczy,
Zrumienione ma jagody
I nabrzękłe oczy;

Podpił sobie starowina,
Tacza się wśród drogi
I do gwiazd się brać zaczyna,
A te przed nim — w nogi...

Więc niechętnie idzie dalej,
Gorzko się uśmiecha,

Mrucząc: »Dyabli to nadali:
   »Starość nie uciecha.

»Oj, te gwiazdy! ród zdradliwy!
   Każda z nich jest płocha;
Dziś dlatego, żem już siwy,
   Żadna mnie nie kocha.

»Młodość za to miałem sławną —
   Kochały mnie więcej,
A to temu tak niedawno:
   Lat coś sześć tysięcy«.

Kiedy ujrzał smutny Janek
   Starego na niebie,
Wychylił się z za firanek,
   Wzywa go do siebie:

»O, mój stary przyjacielu!
   Zbiegłeś drogi tyle...
Siadaj u mnie na fotelu,
   Spocznij choć na chwilę.

»Musisz być zmęczony pewnie
   Dzisiejszą podróżą«...
Księżyc na to mruknął gniewnie:
   »Nogi mi nie służą!

»A tu trzeba spacerować
I świecić latarką
Wszystkim, co chcą romansować —
Księżnom, czy kucharkom

»I od samych klątw, uniesień
Słuchać wciąż od ludzi,
Czy to wiosna, czy to jesień:
To mnie dyablo nudzi!

»Każdy myśli z tych młodzików,
Że on tylko jeden
Pełną piersią wykrzykników
Odkrył nowy eden;

»Że on pierwszy z swoją miłą
Między gwiazdy zalazł,
I że przedtem nic nie było —
On miłość wynalazł!

»Gdy go zdradzi ładne dziecię,
Wtedy znowu mniema,
Że na całym bożym świecie
Nieszczęśliwszych niema —

»I dziwuje się bez końca,
Utraciwszy zdradną,

Że księżyce, gwiazdy, słońca,
Na nos mu nie spadną«-

Janek przerwie: »Srebrny panie,
Jesteś w złym humorze,
Lecz na moje zapytanie
Odpowiesz mi może.

»Nie będziesz się na mnie srożył
Za pospólstwa winy:
Wszak wiesz, że mnie Pan Bóg stworzył
Z innej całkiem gliny.

»Moja miłość — to nie zwykłe
Śmiertelnych mamidła,
To nie zmysłów cacko nikłe,
To nie bańka z mydła!

»Moja miłość — ta wyrosła
Ponad poziom ziemi,
W niebo czysty skarb uniosła
Skrzydłami swojemi.

»Nic wspólnego nie ma z zmienną
Ludzkich uczuć nędzą,
Gdyż oplotła świat promienną
Idealną przędzą.

»Ona wyższą nad egoizm
I nad serca klęski...
Moja miłość — to heroizm
Dumny i zwycięski!

»Ja nie pragnę nic dla siebie,
Dla szczęścia własnego,
Bo w miłości mojej niebie
Niema nic ziemskiego.

»Nic nie pragnę, nic nie żądam,
Tak, niczego więcej,
Oprócz wieści, co wyglądam
Od sześciu miesięcy.

»Chciałbym tylko wiedzieć tyle
O moim aniele:
Jak przepędza smutne chwile?
Czy nie cierpi wiele?

»List posłałem przez gołębia;
Nie mam w zamian wieści:
Więc niepokój mnie przygnębia,
Usycham z boleści.

»W twoje ręce los mój składam;
Powiedz, że jest żywą:

Oddam wszystko, co posiadam,
Za tę wieść szczęśliwą.

Księżyc odparł: — »Jesteś hojny,
Bo posiadasz mało;
Lecz gdy jesteś niespokojny,
Powiem prawdę całą.

»Jest mi miło, że cię mogę
Tak łatwo pocieszyć.
Powiem krótko, bo mi w drogę
Czas się już pospieszyć.

»Byłem właśnie mimochodem
W tamtej stronie z rana
I widziałem, jak ogrodem
Szła twa ukochana.

»Przy niej ładny szedł chłopaczek;
Patrzała nań słodko
I niejeden spiekła raczek,
Bawiąc się stokrotką.

»Potem list twój wydobyła
Z kieszeni fartuszka
I o tobie coś mówiła
Tamtemu do uszka:

»I usiadła z nim pod drzewem
Z śmiechem list podarła«...
Na to Janek krzyknie z gniewem:
»Bodajby umarła!

»O niegodna! o zdradliwa!
Tak mnie zwieść szkaradnie!
Co mi z tego, że jest żywa...
A, niechaj przepadnie!«

Księżyc zaczął śmiać się głośno,
Ramionami wstrząsał,
Słysząc furyę tę miłośną;
Janek wciąż się dąsał

Aż staremu się znudziło
Słuchać, jak się żali
I wyklina swoją miłą —
Chciał wędrować dalej.

Spostrzegł Janek, że staruszek
Zaczyna się zżymać;
Chciał go chwycić za kożuszek,
Żeby go przytrzymać:

Ale księżyc w mig się sprawił.
Przewidziawszy łapkę,
W ręku Janka pozostawił
Tylko lisią czapkę.

LILIE WODNE.

Taki spokój rozlany w naturze,
Niebo takie czyste i pogodne!
Na jeziora przejrzystym lazurze
Zakwitają blade lilie wodne —
Zakwitają i z schyloną twarzą
Za czemś tęsknią i gonią i marzą.

Sierp księżyca przegląda błyszczący
Przez nadbrzeżne sitowia i trzciny,
Łódka płynie po fali milczącej —
Na niej chłopiec patrzy w twarz dziewczyny
A ta główkę rozmarzoną skłania,
Czyniąc jemu dziwne zapytania:

— »O czem marzą owe lilie smutne,
Zatopione w podwójnym błękicie?
Czy, jak duchy jeziora pokutne,
W śnie kwiecistym nowe biorą życie,
Gdzie je znowu w jasny wieniec wplata
Idealna twórcza piękność świata?

»Czy też może służą za dyadem
Utopionej w jeziorze dziewicy?
Albo tylko są odbiciem bladem
Ludzkich tęsknot wiecznej tajemnicy —
I dlatego sen życia je pieści
Echem naszych pragnień i boleści?«

— »Ty się pytasz, mój biały aniele,
O czem marzą owe kwiaty senne?
W naszych piersiach kwitnie uczuć wiele:
A nie wiemy, gdzie biegną — promienne,
I związani ze ziemią łańcuchem,
Nic nie wiemy, gdzie płyniemy duchem.

»Wiemy tylko, że w ciągłej pogoni
Za tą marą piękności bezwzględną
Rozsiewamy kwiaty pełne woni,
Które kwitną chwil kilka i więdną;
Ale w każdym w krótkiej trwania dobie
Zostawiamy jakąś myśl po sobie«.

— »Ja-bym chciała — dziewczę się ozwało —
Mój sen życia powstrzymać w swym biegu
I zakwitnąć taką lilią białą,
Pełną woni na jeziora brzegu,
I nie ponieść żadnej serca straty,
Lecz tak więdnąć jako więdną kwiaty,

Ja się lękam w ciemną przyszłość płynąć
I utracić rajskich marzeń jasność;
Wolę raczej w chwili szczęścia zginąć
I twą miłość wziąć z sobą na własność,
I być pewną, że się nic nie zmieni
W blasku naszych wewnętrznych promieni...

—»Niech cię przyszłość, najdroższa, nie straszy!—
Odparł młodzian, topiąc wzrok w błękicie—
Myśmy najprzód już w miłości naszej
Zaczerpnęli nieśmiertelne życie:
I możemy iść dalej bezpieczni,
Że się sen nasz za światem uwieczni.

»Los nas może na zawsze rozłączyć,
Wyszukiwać męczarnie najrzadsze,
Może w serca truciznę nam sączyć:
Tych chwil szczęścia on jednak nie zatrze!
I zostawim nad swoją mogiłą
Co nam spójnią nieśmiertelną było.

»Może także nad tonią błękitną,
Tu, gdzie teraz rozmawiamy z sobą,
Takie lilie znów po nas wykwitną,
Naszych losów owiane żałobą,
I w niebiosa patrząc się pogodne,
Będą o nas marzyć — lilie wodne«.

RÓŻA.

Ach, ta róża! ach, ta róża!
Co się w twoje okno wdziera,
Na pokusy mnie wystawia,
Sen i spokój mi odbiera...

Wciąż z zazdrością myślę o niej,
Choć jej nie śmiem dotknąć ręką,
Bo mnie gniewa, że bezkarnie
Patrzy nocą w twe okienko.

Radbym nieraz rzucić wzrokiem,
Błądząc w wieczór po ogrodzie,
Radbym dojrzeć... ale zawsze
Stoi róża na przeszkodzie!

Ona winna! ona winna!
Że ciekawość moją drażni,
Bo gdzie sięgać wzrok nie może —
Sięga siła wyobraźni.

Odtwarzając piękność twoją
Coraz bardziej tracę głowę;
Zamiast pączków, zawsze widzę
Twe usteczka karminowe.

A gdy jeszcze wonne kwiaty
Powysrebrza blask księżyca,
Wtedy, wtedy w każdej róży
Widzę tylko twoje lica.

A myśl coraz dalej biegnie
I wypełnia postać cudną,
I odsłania wszystkie wdzięki...
Bo fantazyę wstrzymać trudno,

Widzę ciebie nawpół senną,
Snem rozkoszy rozmarzoną;
Widzę włosów splot jedwabny,
Śnieżną falą drżące łono.

I te usta, co miłośnie
Wpół otwarte — chcą czarować,
I rozważam: co za rozkosz
Takie usta pocałować!

Krew się ogniem w żyłach pali;
Chcę ten obraz pieścić wiecznie...

Lecz przy róży — pod okienkiem
Stać młodemu niebezpiecznie.

Gdybym tylko mógł być pewny,
Że cię, piękna, nie oburzę,
Byłbym... byłbym już oddawna
Pod twem oknem zdeptał różę.

STOKROTKI.

I.

Jakże żałuję tej szczęśliwej pory,
Kiedy stokrotki, kwiatek pospolity,
Zdał mi się w cudne ubranym kolory
I budził w sercu dziecinne zachwyty, —

I kiedy długie majowe wieczory
Spędzałem, patrząc w jasnych ócz błękity,
Cichego szczęścia pełen i pokory,
Bijący sercem, a nigdy nie syty.

A choć to było kwiecie takie skromne,
Nigdym się z prawdą marzeń nie rachował,
Bom miał rozkoszą serce nieprzytomne, —

I kiedym usta różane całował,
Tom nic nie pragnął i nic nie żałował —
I dziś drżę jeszcze, gdy tę chwilę wspomnę...

II.

Później, ach, wiele kwiatów egzotycznych
Widziałem, pełnych piękności i woni;
Dużo heroin znałem poetycznych,
Niosących uśmiech, — łzy i serca w dłoni...

A przecież żaden z tych kwiatów rozlicznych
Wspomnieniem szczęścia muie teraz nie goni
I z tych postaci wzniosłych, eterycznych
Od melancholii żadna mnie nie broni!

Bom się nie spotkał już z tem upojeniem,
Co jedno drogę do szczęścia otwiera,
Bez względu czy jest prawdą, czy złudzeniem:

Bez niego serce powoli zamiera,
I z ideałów blade maski zdziera
I żegna zwiędłe stokrotki — westchnieniem...

BŁAWATEK.

Jaki to chłopiec niedobry!
Tak mnie wciąż zbywa niegrzecznie;
Muszę się gniewać na niego —
Gniewać koniecznie.

Niedawno wyrwał mi z ręki
Zerwany w polu bławatek
I przypiął sobie do piersi —
Skradziony kwiatek.

I jeszcze żartował ze mnie,
Gdym się żaliła na psotę.
Bo mówił, że ma coś więcej
Ukraść ochotę;

Że oczy moje piękniejsze
Niźli ten kwiatek niebieski;
Że chce pić rosę z bławatków,
A z oczów łezki.

I mówił dalej, niegrzeczny,
Że mnie rodzicom ukradnie:
Tak straszyć kogo, doprawdy
Że to niełàdnie.

Chciałabym gniewać się bardzo!
Nie widzieć więcej... ach, trudno!
Wiem, że mnie samej bez niego
Byłoby nudno.

Ale go muszę ukarać;
Podstępu na to użyję:
Będę umyślnie płakała —
Niech łezki pije!

MIĘDZY NAMI NIC NIE BYŁO.

Między nami nic nie było!
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych!
Nic nas z sobą nie łączyło —
Prócz wiosennych marzeń zdradnych;

Prócz tych woni, barw i blasków,
Unoszących się w przestrzeni;
Prócz szumiących śpiewem lasków
I tej świeżej łąk zieleni;

Prócz tych kaskad i potoków,
Zraszających każdy parów;
Prócz girlandy tęcz, obłoków,
Prócz natury słodkich czarów;

Prócz tych wspólnych, jasnych zdrojów,
Z których serce zachwyt piło;
Prócz pierwiosnków i powojów. —
Między nami nic nie było!

POSYŁAM KWIATY.

Posyłam kwiaty: niech powiedzą one
To, czego usta nie mówią stęsknione,
Co w serca mego zostanie skrytości
Wiecznym oddźwiękiem żalu i miłości.

Posyłam kwiaty: niech kielichy skłonią
I prószą srebrną rosę jak łezkami!
Może uleci z ich najczystszą wonią
Wyraz drżącemi szeptany ustami;
Może go one ze sobą uniosą
I rzucą razem z woniami i rosą.

Szczęśliwe kwiaty! im wolno wyrazić
Wszystkie pragnienia i smutki i trwogi;
Ich wonne słowa nie mogą obrazić
Dziewicy, choć jej upadną pod nogi;
Wzgardą im usta nie odpłacą skromne, —
Najwyżej rzekną: »Słyszałam — zapomnę«.

Szczęśliwe kwiaty! mogą patrzeć śmiele
I składać życzeń utajonych wiele,
I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny...
Zanim z tęsknoty uwiędną serdecznej.

ZWIĘDŁY LISTEK.

Nie mogłem tłumić dłużej
Najsłodszych serca snów:
Na listku białej róży
Skreśliłem kilka słów.

Słowa, co w piersiach drżały
Niewymówione w głos,
Na listku róży białej
Rzuciłem tak — na los!

Nadzieję, którąm pieścił,
I smutek, co mnie truł,
I wszystkom to umieścił.
Com marzył i com czuł.

Tę cichą serca odpowiedź
Miałem jej posłać już
I prosić o odpowiedź
Na listku białych róż...

Lecz kiedy me wyrazy
Chciałem odczytać znów,
Dojrzałem w listku skazy,
Nie mogłem dostrzedz słów.

I pożółkł listek wiotki,
Zatarł się marzeń ślad
I zniknął wyraz słodki,
Com jej chciał posłać w świat!

JA CIEBIE KOCHAM.

»Ja ciebie kocham!« Ach, te słowa
Tak dziwnie w mojem sercu brzmią!
Miałażby wrócić wiosna nowa
I zbudzić kwiaty, co w niem śpią?
Miałbym w miłości cud uwierzyć?
Jak Łazarz z grobu mego wstać?
Młodzieńczy dawny kształt odświczyć,
Z rąk twoich nowe życie brać?

»Ja ciebie kocham!« Czyż być może?
Czy mnie nie zwodzi złudzeń moc,
Ach, nie! bo jasną widzę zorzę
I pierzchającą widzę noc,
I wszystko we mnie inne, świeże!
Zwątpienia w sercu stopniał lód,
I znowu pragnę — kocham — wierzę —
Wierzę w miłości wieczny cud!

»Ja ciebie kocham!« Świat się zmienia,
Zakwita szczęściem od tych słów,

I tak jak w pierwszych dniach stworzenia
Przybiera ślubną szatę znów!
A dusza skrzydła znów dostaje:
Już jej nie ściga ziemski żal —
I w elizejskie leci gaje
I tonie pośród światła fal.

SONET.

Kiedym cię żegnał, usta me milczały...
I nie wiedziałem, jakie słowo rzucić:
Więc wszystkie słowa przy mnie pozostały,
A serce zbiegło i nie chce powrócić.

Tyś powitała znów swój domek biały,
Gdzie ci słowiki będą z wiosną nucić —
A mnie przedziela świat nieszczęścia cały:
Dom mój daleko i nie mogę wrócić...

Tak mi boleśnie, żem odszedł bez echa!
A jednak lepiej, że żadnem wspomnieniem
Twych jasnych marzeń spokoju nie skłócę;

Bo tobie jutrznia życia się uśmiecha:
A ja z gasnącym żegnam się promieniem
I w ciemność idę — i już nie powrócę.

ŻYCZENIE.

Minęła wiosna, minęło lato,
I smutna jesień już mija;
Każdy dzień żegna mnie nową stratą
I resztę łez mych wypija.

Skończy się jesień, nadejdzie zima,
Pajęcza zerwie się przędza;
Serce chwil jasnych w locie nie wstrzyma...
Zostanie rozpacz i nędza.

I zima minie, i świat nanowo
Przybierze postać wiośnianą;
Lecz mnie nie zbudzi miłości słowo:
Umarli z grobu nie wstaną!

Na godach życia duchem i ciałem
Inni już będą przytomni...
Lecz niech ta, którą tyle kochałem,
Czasami jeszcze mnie wspomni!

ACH, POWIEDZ!

Ach, powiedz, powiedz! jaki Bóg
W nadziemskie ubrał cię szaty –
Abyś w piękności zbrojna łuk
Zburzyła promienne światy?

Ach, wobec ciebie niema nic!
Ty łamiesz prawa odwieczne
I przed jasnością twoich lic
Promienie gasną słoneczne.

Niebiosa, ziemia, błękit wód, —
Wszystko przepada i ginie,
Gdy ty, w piękności zbrojna cud,
Stajesz na światów ruinie.

Olśniewasz wszystkie światy trzy
Białością swojego łona;

Rozkoszy dreszczem ziemia drży,
Kiedy obnażysz ramiona.

Z ust twoich pijąc słodycz róż,
Z pragnienia umrzeć-by trzeba;
Ich ogień wstrząsa światem dusz
I pali najwyższe nieba.

A któż z śmiertelnych może znieść
Twą piękność w całym rozkwicie?
Kto może oddać tobie cześć —
I jeszcze zachować życie?

Kto może myślą pieścić skroń,
Twych włosów bawić się splotem?
Kto pić namiętną może woń —
I jeszcze nie umrzeć potem?

A jak konwalii biały kwiat
Usycha na twojem łonie,
Tak każdy zginąć byłby rad
Z uśmiechem szczęścia przy zgonie.

Lecz, widząc ciebie, odejść znów
W samotne ziemi obszary:
Na te męczarnie niema słów,
I niema straszniejszej kary!

Więc powiedz, powiedz: jaki Bóg
Zrobił cię światów królową?
Bo ja chcę umrzeć u twych nóg —
Byś mnie wskrzesiła na nowo!

TY CZEKAJ MNIE.

Ty czekaj mnie, dzieweczko cudna,
Pod tą wysmukłą topolą!
Przysięgam ci — choć to rzecz trudna, —
Że wrócę... gdy mi pozwolą.

Ty czekaj mnie i kochaj wciąż!
Będzie to wielką zasługą...
A jak się znajdzie dla ciebie mąż,
Nie każ mu wzdychać zbyt długo!

Lecz bierz z nim ślub i kochaj znowu,
Dopóki serca ci stanie,
I wierzyć chciej mojemu słowu,
Że to ci skróci czekanie.

Gdy minie już miłości szał —
Czekaj mnie pod tą topolą:
Chociażbym z grobu powstać miał,
Powrócę!... gdy mi pozwolą.

POWRÓT PIOSENKI.

Piosnka, którą ukochana
Zwykła była mi nucić,
Piosnka dawno zapomniana
Przyszła mój sen zakłócić.

Jej melodya staroświecka,
Zapomniana oddawna,
Miała w sobie uśmiech dziecka
W łzę była oprawna.

Skąd się wzięła dziś nanowo
W sercu mojem? któż zgadnie?
Ale słyszę ton i słowo,
Co mi dźwięczy tak ładnie.

Jeśli piosnki jak skowronki
Odlatują z jesienią,
A wracają znów na łąki,
Gdy się z wiosną zielenią —

To piosenki tej przybycie
I jej tchnienie miłosne
Może wrócić nowe życie,
Przebudzenie i wiosnę.

Jeśli piosnki są, ach! tylko
Własnym cieniem człowieka,
Co, tak duży ranną chwilką,
Z biegiem słońca ucieka,

A do dawnej wraca miary,
Kiedy słońce już nizko —
To ten powrót piosnki starej
Może wróżyć noc blizką.

R A D A.

Utraciłeś, mówisz, spokój
I moralną równowagę
Dla dziewczęcia pięknych oczu:
Biedny chłopcze, miej odwagę!
Sam najlepiej zawyrokuj:
Czy to warto żyć spokojnie?
W mglistych, czystych snów przeźroczu
Kąpać duszę bogobojnie?

Nigdy czoła nie zachmurzyć
I nie doznać serca bicia?
Żyć bez szaleństw, pragnień, wzruszeń
Pozorami mdłego życia?
Lepiej, że się zacznie burzyć
Niepokojem pierś twa młoda:
Tęcza tęsknot, żądz, pokuszeń
Nowych blasków tobie doda!

Na twe troski znajdziesz radę,
Tylko śmiało patrz jej w oczy.

Niech ten płomień, co z nich bucha,
Falą ognia się otoczy;
A gdy w wzroku dojrzysz zdradę,
Gdy tęsknota wzrośnie w łonie,
Chcąc odzyskać spokój ducha —
Weź i ściśnij drobne dłonie!

Jeśli za to się obruszy
I gdy twarz jej, dotąd biała,
Opromieni się różowo
I gdy pierś jej będzie drżała —
Wtedy ratuj spokój duszy!
Uratujesz, jak Bóg w niebie,
Gdy wymówisz słodkie słowo:
— O, najdroższa! kocham ciebie!...

Jednak, jednak być to może,
Że ucieknie zapłoniona...
Na ucieczkę ty nie zważaj,
Bo powróci jeszcze ona!
Że powróci — głowę łożę:
Więc ty tylko bądź wytrwały:
Pierwszą próbą się nie zrażaj —
Bądź namiętny, tkliwy, śmiały;

I choć będziesz cierpiał, marzył,
Choć się ogniem pierś zapali,

Spokojności, ach! nie żałuj,
Lecz się jeszcze posuń dalej,
Gdy się będziesz przed nią skarżył,
A ta śmiać się będzie pusta...
Weź za rączkę i pocałuj,
Lecz pocałuj — w same usta!

SERENADA.

Patrz! oto wiosna znów
Najsłodsze niesie ci tchnienia
I czoło twoje ocienia
Wieńcem kwitnących bzów.
Czy czujesz w niemym zachwycie
Wdzięk nowy i nowe życie?
O luba, mów!

Czy czujesz dziwne pragnienia,
Ożywczy powiew płomienia,
Urok niebieskich snów?
Czy czujesz tę woń w błękicie
Co serca przyśpiesza bicie?
O luba, mów!

Słyszysz miłości śpiew?
Słyszysz, jak wietrzyk szeleści,
Kwiaty całuje i pieści,
Igrając pośród drzew?

Słyszysz w tej cichej godzinie
Harmonię, co w serca płynie
Z nadziemskich stref?

I kojąc ludzkie boleści,
Przynosi w sennej powieści
Najtkliwszych uczuć siew?
Słyszysz, jak, skryty w jaśminie,
Słowik wygłasza jedynie
Miłości śpiew?

Czy widzisz światła rzut,
Który w błękitów przestrzeni
Wśród nocy niebo rumieni,
Zwiastując słońca wschód?
Czy widzisz? widzisz — tam w dali
Jak księżyc igra na fali
Spokojnych wód?

Czy widzisz w blasku promieni,
W grze świateł i lekkich cieni,
Wiecznej piękności cud?
Czy serca twego nie pali
Płynący w wianku korali
Jutrzenki wschód?

Jeżeli w sercu twem
To wszystko słyszysz i czujesz,

Jeżeli rozkosz zgadujesz,
Co świat ożywia tchem;
Jeśli twe usta różane
Gonią, pragnieniem owiane,
Za jakim snem;

Jeśli się w niebo wpatrujesz,
I wonne kwiaty całujesz,
Z wzruszeniem walcząc swem:
Zejdź do mnie, dziewczę kochane,
Kończyć marzenia wiośniane
Na sercu mem!

NAWRÓCENIE.

Gdy miała szesnaście latek,
Była, ach! bardzo sceptyczną:
Nie chciała wierzyć, gdym mówił,
Że jest prześliczną!
Wątpiła o swej urodzie,
W uczucie wierzyć nie chciała;
Kiedym jej miłość wyznawał,
Tylko się śmiała!

Lecz dzisiaj, po latach wielu,
Wiara w jej serce wstąpiła —
I nawrócona zupełnie,
Żałuje, że wprzód wątpiła...
Ufna w potęgę miłości,
Wspomnienia pragnie odświeżyć,
Wierzy, że jeszcze ją kocham;
Lecz ja — przestałem już wierzyć...

NIEZRĘCZNY.

I.

Gdy ją raz pierwszy ujrzał w kobiet gronie,
Uczuł w swej duszy jakby światło nowe:
Zdawało mu się, że widmo tęczowe
Młodzieńczych marzeń podaje mu dłonie —

I zapatrzony w oczy szafirowe
Zaledwie zdołał skłonić przed nią głowę
Przy przedstawieniu, i wiedząc, że płonie,
Onieśmielony stał jak żak w salonie.

Ona spostrzegłszy to jego zmieszanie
Chciała przyjść w pomoc i pierwsza z uśmiechem
Zadała jakieś zwyczajne pytanie.

By odpowiedzieć, zwrócił się z pośpiechem,
Lecz się w jej sukni zaplątał jedwabnej
I urwał kawał falbany — niezgrabny!

II.

Trudno uwierzyć! lecz taka przygoda,
Zamiast mu szkodzić u piękne kobiety,
Pomogła raczej — i nastała zgoda
Pomiędzy sercem wdówki i poety.

I widywała się ta para młoda:
On jej przynosił do domu bukiety
I wzdychał ciągle, na co szkoda czasu
I co go wreszcie zgubiło — niestety...

Siedział sam przy niej, źrenicą spragnioną
Tonął w jej oczach w niemem zachwyceniu:
Na twarz im padał srebrny blask miesięczny,

Więc ją mógł widzieć drżącą i wzruszoną:
Ale w tem samem został oddaleniu,
Gdyż bał się suknię nadeptać — niezręczny!

ABDYKACYA.

Sukienkę miała w paseczki
Perkalikową,
We włosach polne kwiateczki,
Twarzyczkę zawsze różową:
Nie było piękniejszej dzieweczki —
Daję wam słowo!

Była, doprawdy królewną
Cudownych krajów!
I miała orkiestrę śpiewną
W królestwie zielonych gajów,
I armię kwiatów powiewną
Brzegiem ruczajów.

Gdy zbrojna ruszyła w pole
Wraz z wojskiem swojem,
Wszystko spełniało jej wolę;
Słynęła w świecie podbojem, —
I mnie zabrała w niewolę
Nad jasnym zdrojem.

Miała na swoje rozkazy
Nadziemskie moce,
Poranki słodkiej ekstazy,
Rajskich pożądań owoce,
Gwiaździstych sfer krajobrazy,
Wiosenne noce.

Niem wiem, dlaczego złożyła
Berło liliowe
I na koronki zmieniła
Swoje korony tęczowe:
Wiem, że Arkadya straciła
Swoją królowę.

Dziś tylko... wielką jest damą,
Strojną bez miary,
Ma pałac z herbem nad bramą,
Kaprysy spełnia mąż stary;
Ale już nie jest tą samą —
Znikły, ach! czary.

I choć króluje na balu
W każdym salonie —
Znać na niej jakiś cień żalu...
I marzy, wspierając skronie,
O swej sukience z perkalu
I polnych kwiatów koronie.

PRZESTROGA.

Ty, lube dziewczę, masz duszę tkliwą,
Co się pięknością wszelką zachwyca;
Jednak ci radzę: chcesz być szczęśliwą,
To za mąż idź za szlachcica!

Poetycznego nie bierz kochanka!
Poezya w życiu — to ból i troski;
Ty przedewszystkiem jesteś szlachcianka,
Trzeba ci z mężem i wioski.

Bardzo rozsądnie robi twa matka,
Łamiąc kaprysik twój idealny:
Miłość — to jakaś ciemna zagadka;
Majątek — ten jest widzialny!

Przeminie wiosna rozkosznych wrażeń
I sny przeminą, którymi żyjesz,
I śmiać się będziesz z dziecinnych marzeń,
Skoro troszeczkę utyjesz.

I będziesz wdzięczną swej matce potem,
Na bal w poczwórnej jadąc karecie,
Żeś zaślubiła worek ze złotem,
Dawszy odkosza poecie.

SPÓŹNIONA ODPOWIEDŹ.

Miałem raz jedną szczęścia chwilę —
Chwilę rozkoszną, lecz zbyt krótką:
Patrzałaś na mnie dziwnie a mile,
Siedząc cichutko.

Ja byłem wtenczas tak wymowny!
Tyś mnie słuchała, pieszcząc pieska.
Na ustach uśmiech wykwitł czarowny,
A w oku łezka.

Mówiłem wiele w upojeniu;
Miłością brzmiało każde słówko:
A tyś tonęła w słodkiem marzeniu
Z schyloną główką.

Widziałem serca twego bicie,
Widziałem w wzroku wzruszeń tyle...
Ach, jeszcze dzisiaj oddałbym życie
Za taką chwilę!

Wyznałem moją miłość całą,
Czekając, co mi powiesz sama;
Nie wiem, co wtenczas ze mną się działo...
Wtem weszła sama!

Ja się zmieszałem, tyś się zlękła,
I odtrąciłaś rączką pieska;
Pierzchła odpowiedź — i w locie pękła
Bańka niebieska.

Potem ubiegło czasu wiele —
Czekałem długo na odpowiedź...
Aż usłyszałem w jedną niedzielę
Twoją zapowiedź.

PIJĄC FALERNO.

Dosyć łez! poco te smutki?
Czas się nareszcie rozchmurzyć!
Poranek życia tak krótki:
Trzeba go użyć.

Szczerością pewnie się zgubię,
Mimo to będę otwarty:
Dawniej kochałem... dziś lubię
Życie na żarty.

Com kochał?... razem z miłością
Pamięć rzuciłem za okno,
A resztki wspomnień z radością
W kieliszku mokną.

Jeśli to miłość dziewczyny,
Więc, by ukarać niewierną,
Usiadłem na łonie Fryny,
Pijąc Falerno.

* * *

Jeśli to... lecz daj mi pokój
Z bezpłodną ojcowizn schedą!
Lepiej ty, Fryne, prorokuj
Bachiczne Credo.

Rozkoszy stawmy ołtarze,
Pijacką miejmy bezczelność:
A może znajdziemy w czarze
I nieśmiertelność...

Zdziwim się, a przy wdzięczności
W piwnice pójdziemy rajskie
Wybierać z beczek wieczności
Wina tokajskie.

Tymczasem, do wniebowzięcia
Sposobiąc żądzę niezmierną,
W twoje się chylę objęcia,
Pijąc Falerno.

* * *

Winnice na grobach rosną,
A zatem z tych winogradów
Ożywiam wenę miłosną
Prochem pradziadów.

Życie nad śmiercią przeważa,
Bo taka istnienia kolej:
Wypijmy zdrowie grabarza...
Wina mi dolej!

Kto jeszcze nie przestał szlochać,
Ten pewnie z własnej swej winy
Nie może już pić ni kochać
Ładnej dziewczyny.

Niech się więc kruszy przed niebem,
Gotując się *in aeterno:*
Pójdę za jego pogrzebem,
Pijąc Falerno.

* * *

Kto mi przerywa?... to duchy,
Znane mi kiedyś, przed chwilą...
Brząkają w swoje łańcuchy,
Mówić się silą.

Chodźcie tu, moi najszczersi,
Grzać się miłością i winem!
Wszak nieraz piersią przy piersi
Byliśmy czynem.

Dziś wy — cieniami marnemi,
Skrwawione chylicie usta;
Mnie zaś tu trzyma na ziemi
Dziewczyna pusta.

Więc klnijmy w pijanym szale
Opatrzność niemiłosierną...
W łeb sobie jutro wypalę,
Pijąc Falerno!

NA POCZĄTKU.

Na początku nic nie było,
Tylko przestrzeń ciemna, pusta...
Wtem jej czarne błysły oczy
I różowe świeże usta.

Od jej spojrzeń, od rumieńca
Zajaśniała świateł zorza,
A gdy pierwsze rzekła słowo,
Ziemia wyszła z głębi morza.

Gdy przebiegła ziemię wzrokiem,
Śląc jej uśmiech — rój skrzydlaty
Wzleciał ptaków i motyli
A z pod ziemi wyszły kwiaty.

Lecz nie istniał jeszcze człowiek,
Tylko martwa gliny bryła;
Aż nareszcie swym płomiennym
Pocałunkiem — mnie stworzyła.

I zbudziłem się do życia
W cudowności jasnym kraju...
Lecz mnie również, tak jak innych,
Wypędzono z tego raju.

KARMELKOWY WIERSZ.

Bywało dawniej, przed laty,
Sypałem wiersze i kwiaty
Wszystkim dziewczątkom;
Bom myślał — o, piękne panie —
Że kwiat lub słowo zostanie
Dla was pamiątką.

Wierzyłem — zwyczajnie, młody —
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć;
Że trocha serca kobiecie
Świetnej karyery na świecie
Nie może psuć.

Aniołków brałem na seryo
I z śmieszną Don-Kiszoteryą
Wielbiłem lalki,
I gotów byłem — o, zgrozo! —
Za Dulcyneę z Tobozo
Stanąć do walki!

Lecz dziś komedyę salonu,
Jak człowiek dobrego tonu,
Nawylot znam.
Z serca pożytek nie wielki:
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam.

VIII.

SIWY KONIU.

Siwy koniu, siwy koniu!
Coś tak zadumany?
Nie wiesz drogi, nie wiesz drogi
Do mej ukochanej?

Moja miła nas rzuciła,
Nie wyrzekłszy słowa;
Jak nie znajdziesz do niej drogi,
Zginąć nam gotowa.

Siwy koniu, siwy koniu,
Ciężko tobie będzie:
Przegonimy wiatr, co wieje,
Nie spoczniemy w pędzie.

Siwy koniu, siwy koniu,
Cięższej sercu memu,
Bo straciło już nadzieję —
Samo nie wie, czemu!

SZUMI W GAJU BRZEZINA.

Szumi w gaju brzezina,
Bo inaczej nie może;
Wiatr gałązki jej zgina —
Musi szumieć nieboże.

Wzdycha w gaju dziewczyna,
Mimowoli łzy cieką —
Bo miłego wspomina,
Co jest od niej daleko.

Gdy nadejdzie już zima,
Brzoza liści pozbędzie,
Wszystkie wichry wytrzyma
I już szumieć nie będzie.

Gdy nadejdzie już zima,
Dziewczę wspomni miłego
I smutnemi oczyma...
Zacznie szukać drugiego.

HUCZY WODA PO KAMIENIACH.

Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie:
Nie sądź ludzi po zachceniach,
Ale prawdy szukaj w czynie.

Kto prawdziwie czuć nie zdolny,
Ten się szumem słowa pieści:
Potok głośny a swawolny
Mało wody w sobie mieści.

Lecz spokojnej cisza toni
Zwykle wielką głąb zwiastuje:
Na wiatr uczuć swych nie trwoni,
Kto głęboko w duszy czuje!

BODAJ OWA RZECZKA...

Bodaj owa rzeczka szuwarem zarosła,
Która mnie młodego w obcy kraj zaniosła;
Bodaj owa rzeczka rybek nie rodziła,
Która mnie młodego z domem rozłączyła;
Bodaj owa rzeczka wyschła do ostatka,
Że mnie tam zaniosła, gdzie nie znajdzie matka!

»Nie trzeba ci było — o, mój chłopcze młody —
Puszczać się tak łatwo na wezbrane wody!
Nie trzeba ci było z domu się wydzierać:
Nie musiałbyś teraz z tęsknoty umierać.
Rzeczka będzie rzeczką i wciąż będzie płynąć...
Wstecz nie wróci woda: musisz marnie ginąć!
A twojej mogiły nie obleję łzami —
Tylko nad nią burze będą wyć nocami!«

NIE BĘDĘ CIĘ RWAŁA...

Nie będę cię rwała,
Konwalijko biała,
Bo ty-byś na moją
Płochość narzekała.

Myślałabyś sobie,
Że to na złość robię:
Rośnij więc szczęśliwie
Gajom ku ozdobie.

Nie mam ja dziś komu
Kwiatów nieść do domu,
Nikt mi ich nie wyjmie
Z włosów pokryjomu.

Niema już sąsiada,
Co kwiaty wykrada;
Zdradziecki to chłopiec,
Ale słodka zdrada!

Pokąd nie przyjedzie,
Nic mi się nie wiedzie;
Bo wciąż tylko myślę
O młodym sąsiedzie...

I wszystko mnie nudzi;
Uciekam od ludzi,
Nawet zrywać kwiaty
Chętka się nie budzi.

Możesz więc w spokoju
Rosnąć tu przy zdroju:
Dziś mi nic nie przyjdzie
Z kwiecistego stroju.

Lecz gdy wróci luby
Zawrzeć ze mną śluby
Wtedy, konwalijko,
Już nie ujdziesz zguby.

PAN JEZUS CHODZI PO ŚWIECIE.

O! nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.

Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatów wianeczki zwija;
Szczęśliwym uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca — i mija.

Lecz gdy sierotę napotka
W chacie zwalonej od gromu,
Natenczas zjawia się słodka
Twarz Jego na progach domu...

I boskie wyciąga dłonie,
Aby przytulić sierotę;
Niesie jej blaski i wonie,
Kwiatki niebieskie i złote.

A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynej twarzy

I w sercu nabrzmiałem łzami
Wciąż pączki wypuszcza świeże...
Jasnemi niebios barwami
Duszę sieroty ubierze.

A każdy kwiatuszek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia
I lśni nad czołem sieroty
Iskrą czystego natchnienia:

Choć pójdzie drogą boleści,
Choć nie zna rodzinnej strzechy —
W swych piersiach dziedzictwo mieści
Pełne niebiańskiej pociechy.

Więc nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa po łąkach kwiatki.

PRZYKRO, PRZYKRO JEST DĘBOWI...

Przykro, przykro jest dębowi, gdy go robak toczy;
Ale przykrzej nie módz płakać, gdy łez pełne oczy.

Smutno biednej jest ptaszynie, gdy jej skrzydła
[urzną;
Ale smutniej jeszcze temu, co kocha napróżno!

Źle jest zmykać jeleniowi, gdy go zdybią w kniei;
Ale gorzej jeszcze w sercu — wyrzec się nadziei...

Trudno pływać ciężkim głazom po rzecznej głę-
[binie;
Ale trudniej nie żałować szczęścia, kiedy minie

Ciężko, ciężko wrócić na świat, gdy się leży
[w grobie;
Ale ciężej, o, mój miły, zapomnieć o tobie!

SIEDZI PTASZEK NA DRZEWIE...

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje;

Bo szukają dokoła
Tam, gdzie nigdy nie bywa.
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa;

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale:
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale!

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie —
Aż zmęczeni i smutni
Idą przespać się w grobie.

A więc, siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo;
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą.

SŁONKO.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote:
Szło nad gajem, szło nad łąką —
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: — »Tak wesoło
»Świecisz światu, słonko moje;
»Uśmiechami sypiesz wkoło,
»Gdy ja smutny we łzach stoję.

»Obojętnie patrzysz na to
»Jak się ludzkie serca męczą...
»I nad każdą ludzką stratą
»Promienistą błyskasz tęczą«.

Słonko na to: — »Biedne dziecię!
»I mnie smutno na niebiosach,
»Gdy o waszym myślę świecie
»I o ludzi ciężkich losach;

»Lecz nie mogę ustać w drodze,
»By nad każdą boleć raną:
»Więc w złocistym blasku chodzę,
»Wypełniając, co kazano.

»Nie pomogą próżne żale...
»Ból swój niebu trza polecić —
»A samemu wciąż wytrwale
»Trzeba naprzód iść... i świecić!«

IX.

KWIATY I CHWASTY.

Są kwiaty tyle barwne i ponętne tyle,
Że ściągają do siebie pszczoły i motyle;
Stoją wśród zalotników skrzydlatego wieńca
I nie mają obrony innej prócz rumieńca;
I źle im wróżą wszystkie doświadczone zioła,
Wiedząc, że słodycz lubi i motyl i pszczoła.

Są inne, mniej powabne, lecz przezorne, chwasty,
Co stoją najeżone jak oset kolczasty...
I te, przed napastników zuchwałą pogonią
Zabezpieczone, łatwo kolcami się bronią
I dumne są z zwycięstwa — nic bowiem nie wie-
[dzą,
Że je pomimo kolców wreszcie osty zjedzą.

POKORA POETÓW.

Niezwykle pokornego spotkałem poetę...
Wśród poufnej rozmowy przyszedł na myśl
[Goethe —
I mówiliśmy o nim... Wtem poeta, skromnie
Spuściwszy swoje oczy, odwraca się do mnie
I wręcz mnie zapytuje: »Czy zgadniesz, kolego,
W czem ja jestem właściwie wyższy od Goe-
[thego?«
Jam zdrętwiał — a on, widząc, że nie zgadnę,
[skoro
Rzecze: »Ja jestem wyższy od niego pokorą«.

UCZENI.

Gdy przybędzie do miasta obcy kruk uczony,
Wnet na niego miejscowe napadają wrony;
Dzióbią go bez litości, wyskubują pióra,
Próbując: czy grzbiet giętki i hartowna skóra?
Jeśli konieczną mędrcom cierpliwość posiada,
Wtedy go mądre wrony przyjmują do stada;
A do wielkiego bractwa gdy się raz zapisze,
Wolno mu wraz z drugimi dzióbać znów przybysze.

MARNOTRAWCOM.

Niech nikt sił własnych nadto nie przecenia,
Ani też nadto w swą szlachetność wierzy:
Trzeba się liczyć z czynem poświęcenia
I marnotrawić serca nie należy.
Kto dobrowolnie lepsze swe natchnienia
Wyda na pastwę przechodniów grabieży,
Temu zabraknąć może sił zasobu,
Aby z godnością dojść później do grobu.

DZIEŃ WCZORAJSZY.

Piotr teraźniejszość wyklina;
Wszyscy gniewają go ludzie:
Gniewa zalotna dziewczyna
I piesek, co szczeka w budzie.

Gorszą go nowe kierunki;
Potępia wzajemność cudzą;
Dzieci na łonie piastunki
Już jego odrazę budzą.

Wszędzie zepsucie go ściga...;
Próżno sam stoi na straży:
Zwycięża w świecie intryga
Żydów i Wolnych Mularzy.

Zalewa ziemię wokoło
Rozpusty bezwstydny cynizm;
Jak hydra podnosi czoło
Socyalizm i jakobinizm.

Znikąd nie widać pociechy;
Więc przepowiada narodom
Za wszystkie tych czasów grzechy
Los straszny biblijnych Sodom.

»Dawniej — to wspomnieć aż miło —
»Nic nie kosztował nas najem;
»Wszystko się samo robiło
»I życie było, ach! rajem.

»Podatków nie gniotło brzemię,
»A pan spokojnie sprzedawał,
»Jeśli nie całą swą ziemię,
»Przynajmniej dobry jej kawał.

»Moralność kwitła na dole...
»I niższa narodu warstwa
»Kornie znosiła niedolę,
»Szukając w modłach lekarstwa.

»Nie było pokusy próżnej:
»Każdy się godził z swym stanem;
»Kto żebrak, ten żył z jałmużny,
»A pan — ten zawsze był panem.

»Nauki zgubnego jadu
»Nikt w dusze ludzkie nie szczepił;

»Zepsucia nie było śladu,
»Najwyżej — wioskę kto przepił«.

Tak się wciąż skarży i zżyma
I biada poczciwa dusza,
Aż przywdział ubiór pielgrzyma
I w drogę po nocy rusza.

Śród nocy — ciemno troszeczkę,
Więc w błocie kosturem grzebie;
Zapalił łojową świeczkę
I pilnie patrzy przed siebie.

— »Gdzie idziesz? — pytam — człowiecze,
»Czy szukasz po nocy czego?«
A on mi z dumą odrzecze:
— »Ja szukam dnia wczorajszego«.

— »Jak sądzę, daleko zajdziesz:
»Pospieszaj zatem jegomość,
»A jak wczorajszy dzień znajdziesz,
»Przyślij mi pocztą wiadomość«.

ŻABY.

Żaby, jak to wiadomo, lubią siedzieć w bagnie...
Choć która zeń wyskoczy, zaraz wracać pragnie:
Więc choć są zniewolone czasem do podróży,
Zawsze na nocleg trafią do jakiej kałuży,
A wróciwszy do siebie, powiedzą z prostotą,
Że w całym świecie wszędzie jednakowe błoto.

Są ludzie, co tak samo wydają wyroki,
Że kałużą zepsucia cały świat szeroki
I że wszędzie, gdzie spojrzeć, wysoko, czy nizko,
Trzeba zawsze jednakie napotkać bagnisko.
Lecz ja, kiedy usłyszę te skargi rozpaczne,
Zaraz surowych sędziów podejrzywać zacznę
I myślę sobie w duchu: Ci pewnie z ochotą,
Jak żaby, lubią wszędzie wyszukiwać błoto.

WIELKIEMU CZŁOWIEKOWI.

Jesteś wielkim człowiekiem: bądź nim, gdzie [należy,
Lecz do śmiertelnych przychodź w zwyczajnej [odzieży;
Bierz za przykład Jowisza, co, choć gromowładny,
W dom śmiertelnych przychodził grzeczny i układny,
Nie chcąc zbyt żywym blaskiem olimpijskiej [chwały
Razić biednej ludzkości wzrok niedoskonały:
Więc i ty, kiedy schodzisz w towarzystwo ludzi,
Nie bierz ze sobą gromu, który postrach budzi,
Nie przynoś orlich spojrzeń, tytanicznych postaw —
Lecz wielkość z kaloszami w przedpokoju zostaw!

SPIS RZECZY.

—

I.

IV.

Str.

V.

VI.

VII.

IX.